

Kamena

Nadzieja i niepokoje

Andrzej Burda

TO już trzecia próba odnowy życia moralnego i zasad życia publicznego w dziejach naszego narodu po drugiej wojnie światowej. Cechująca się tym chyba przede wszystkim, że szeroka opinia wszystkich kręgów społecznych — przynajmniej tych zdolnych do obiektywizmu i nie poddających się emocjom — przyjmuje ją z nadwątlonymi nadziejami i z wieloma niesprawdliwymi obawami. A jednak wartość moralno-społeczna nadziei jest tym razem niepomniejszona niż dawniej, albowiem w na-

szej historii nie ma już miejsca na jeszcze jedną — czwartą — odnowę. Idzie o odrodzenie narodu — cofnięcie się przed tym fundamentalnym zadaniem równałoby się samobójstwu. Zatem absolutnie obowiązujący jest nakaz wykrzesania z pokładów duchowych społeczeństwa nadziei, której nie wolno roztrwonić i utracić. Nadzieje widzę w odwadze i determinacji wszystkich zdrowych sił narodu: woła bytu powinna być najwyż-

ciąg dalszy na str. 8

DOBUDOWAĆ SOCJALIZM

Rozmowa z prof. Zdzisławem Cackowskim

WALDEMAR PIASECKI: — Panie profesorze, zaczniemy od rzeczy podstawowej; od próby zdefiniowania socjalizmu. Czy widzi pan taką potrzebę po trzydziestu sześciu latach naszej powojennej rzeczywistości?

ZDZISŁAW CACKOWSKI: — Najważniejszą treść socjalizmu (jego istotę) oddają trzy pojęcia: sprawiedliwość, wolność obywatelska i godziwy poziom życia. Owe trzy pojęcia wyrażają też powszechne aspiracje ludzi, cel ich marzeń i dążeń. Wszystkie te trzy wartości łącznie stanowią kryterium rozwoju socjalistycznych stosunków społecznych.

Zasada sprawiedliwości jest w doktrynach socjalizmu dobrze określona. Jej istota sprowadza się do współmierności udziału w podziale dóbr wobec udziału w ich tworzeniu. Konkretnie

powiedziałbym, że jeśli w jakimkolwiek środowisku człowiek złej roboty czuje się dobrze, tam sprawiedliwości nie ma.

Wolność, a właściwie wolności obywatelskie... Socjalizm w założeniu miał rozszerzyć wpływ obywatela na bieg życia społecznego i gospodarczego. Baza do takiego wpływu została u nas po II wojnie stworzona, ale nie została dopełniona w sferze stosunków społeczno-politycznych. Chciałbym wierzyć, że bieżący rok istotnie rozszerzy możliwość społecznego oddziaływania na życie kraju. Przyczyniłoby się to do praktycznej realizacji zasady ludowładztwa i sprawiło, iż polityczne prawa obywateli przestałyby być formalne.

Dokończenie na str. 8-9

DYSKUSJE O GOSPODARCE • DYSKUSJE O GOSPODARCE •

Założenia reformy czy reforma założeń?

Piotr Karpus
Sławomir G. Kozłowski
Michał Zieliński
Andrzej Żuk

OPUBLIKOWANY niedawno rządowy projekt reformy gospodarczej można oceniać z różnych punktów widzenia. Można porównywać go z poprzednimi propozycjami zmian rozwiązań systemowych (1956, 1970, 1973), z innymi projektami powstałymi w ostatnim okresie lub z własnymi wyobrażeniami co do charakteru i skali reformy. W zależności od układu porównawczego ocena prezentuje się różnie. Da się w każdym razie z czystym sumieniem powiedzieć, że to najbardziej kompletny i najlepszy projekt rządowy, jaki powstał w ostatnim 25-leciu. Stwierdzenie to jest nie tyle komplementem pod adresem autorów reformy, co naganą dla dotychczasowych reformatorów za opieszałość i brak odwagi. Dokładniejsza bowiem analiza „Podstawowych założeń reformy gospodarczej” wskazuje na szereg niejasności i nieścisłości, czy wręcz na wewnętrzne sprzeczności omawianego projektu. Są one jeszcze wyraźniejsze, gdy projekt rządowy zestawimy z projektami „niezależnymi”, których mamy już co najmniej trzy: Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego, Zespołu kierowanego przez Balcerowicza oraz tzw. projekt wrocławski (autorstwa pięciu profesorów Akademii Ekonomicznej).

W niniejszym tekście chcemy przedstawić te momenty rządowych propozycji, które wydają nam się jej słabymi punktami: są to: brak docelowej wizji modelu gospodarczego, niekompleksowość i niespójność proponowanych rozwiązań (co dotyczy również braku powiązań między reformą gospodarczą i polityczną). Uczucie niedosytu wywołuje także to, iż „Podstawowe założenia” nie wypowiadają się co do systemu zabezpieczeń wprowadzania reformy. Podnosimy tę kwestię, bo życie nauczyło nas, iż przy pierwszych napotkanych trudnościach grano sygnał do odwrotu, wycofując się ze słusznych i nie kwestionowanych przedsięwzięć. Na tle zarysowanych tutaj uwag krytycznych chcemy przedstawić nasze stanowisko, szczególnie w dwóch najważniejszych kwestiach: docelowego modelu gospodarki i sposobu dochodzenia do niego.

Brak kompleksowego podejścia do zmiany systemu funkcjonowania gospodarki narodowej przejawia się w pominięciu (lub jedynie zasygnalizowaniu) problematyki szeregu ważnych dziedzin

Dokończenie na str. 4-5



Jakie mamy rolnictwo?

Str. 4-5

Fot. Waldemar Stępień

z notatnika

14.II. Całodzienne posiedzenie Sejmu, transmitowano, jak nigdy, w całości przez radio i telewizję. Zmiany w rządzie, objęcie stanowiska premiera przez generała armii Wojciecha Jaruzelskiego, a wicepremiera przez Mieczysława Rakowskiego. (Redaktor wicepremierem... Jak to się czasy zmieniają! Kiedyś wołano: literaci do pióra. Czy teraz modne stanie się hasło... dziennikarze do rządu?)

Jaruzelski jako premier to dla jednego z dzienników francuskich „gra Polski swoją ostatnią kartą narodową”. Hmm... Te 90 dni spokoju potrzebne są nam jak powietrze i nie mogą stać się stoma dniami Napoleona.

Będzie dobrze, jeśli premier w mundurze generała wykorzysta w warunkach pokojowych tę myśl strategów, że najlepszą obroną jest atak. Ta myśl w warunkach pokojowych oczywiście nie może być traktowana dosłownie. Chodzi po prostu o to, aby nie wlec się w ogonie wydarzeń, ale na ich przedzie, myśleć nie na wczoraj, ale na jutro.

W 1956 roku śpiewano „Sto lat”, w 1970 roku wołano „Pomożemy”. Dziś nie są potrzebne nawet najbardziej harmonijne głosy. Potrzebna jest natomiast zbiorowa mądrość narodu, jedność partii i jej ofensywne działanie.

Do słowa „ofensywne” dodałbym nie mniej ważne — wiarygodne. Wspólnie należy się zastanowić, jakich dokonać zmian w statucie partii, byśmy przetasowali w hierarchii najwyższej już nigdy nie musieli dokonywać w czasie politycznych zakrętów.

Premier Jaruzelski cieszy się w naszym społeczeństwie szacunkiem i zaufaniem. Pamiętam, jak prawie 26 lat temu uczestniczyłem w konferencji powiatowej PZPR w Nowogardzie k. Szczecina. Był na niej również z ramienia władz centralnych gen. Jaruzelski, wówczas wiceminister obrony narodowej. Skorzystałem z jego uprzejmości, wracaliśmy razem autem do Szczecina. Rozmawialiśmy również o pogmatwanych losach „Kameny”, która dla generała nie była obca. Nie przypuszczałem wówczas, że za kilka lat wrócę do Lublina, właśnie do „Kameny”. Ale teraz kiedy inne starania zawiodą, może generał-premiera poprosić o pomoc w przekształceniu dwutygodnika „Kamena” w tygodnik?

15.II. Czytelnik, ukrywający się pod nazwiskiem Siemiątko (list bez adresu nadawcy i bez odrębnego podpisu, a więc w gruncie rzeczy anonimowy) napadł na mnie z furją, bowiem ośmieliłem się w notatniku zacytować drobny fragment ze wspomnień Władysława Wolskiego, w których była mowa o prześladowaniu polskiej komunistki w więzieniu sanacyjnym. Przy okazji zostałem oskarżony o „ubogostę myślową”, „podłość moralną”, realizującą się „oto na lamach, których założyciel pewnie się w grobie przewraca”. (Chyba chodzi o założyciela pisma, K. A. Jaworskiego, a nie lamów, panie „Siemiątko”?)

Autor napastliwego listu wykazał kompletną ignorancję. Odsyłam go chociażby do artykułu pt. „Spojrzenie wstecz”, który ukazał się w „Kamenie” z czerwca 1934 roku. Można tam znaleźć credo „Kameny”: „... zdajemy sobie sprawę z tego, że żyjemy w epoce przełomowej, w okresie heroicznej walki klasy robotniczej i włościńskiej o nowe oblicze świata z konającym, lecz złośliwym jeszcze kapitalizmem, upostaciowanym w tym czy innym, jawnym czy zamaskowanym faszyzmie. I w tej walce stajemy bezwzględnie po lewej stronie barykady, nie tylko dlatego, że tak nam każe proste poczucie sprawiedliwości, lecz i z tej przyczyny, że ustrój kapitalistyczny, odegrawszy już swoją rolę, stał się przetrzytkiem...” Te słowa, panie „Siemiątko”, wydrukowano w „Kamenie” przed 47 laty, kiedy może pana i na świecie nie było.

A w książce K. A. Jaworskiego „W kręgu Kameny” może pan na str. 171 (II wydanie) przeczytać: „... do przewrotu majowego sympatyk Piłsudskiego, odsunął się od

niego wyraźnie, zwłaszcza po Brześciu i Berezie Kartuskiej i zamieścił nawet w styczniu 1931 r. deklarację w „Robotniku”, solidaryzując się ze słusznym oburzeniem tych literatów, którzy już wyrazili swój protest przeciw hańbiącemu godności człowieka i kulturę polską zajściom w Brześciu.”

W tym świetle zacytowany przeze mnie fragment ze wspomnień Władysława Wolskiego nie tylko nie klęci się, ale jest w całkowitej zgodności z linią „Kameny” od chwili jej założenia. Oczywiście jest to tylko wycinek z życia Drugiej Rzeczypospolitej, która miała i swoje dobre strony. Uważa lektura „Kameny” w ciągu prawie półwiecza jej istnienia wykaże, że i te dobre strony staraliśmy się uwypakować.

Pan „Siemiątko” informuje, że odpis owego listu posyła do wiadomości Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich (Zarządu Głównego czy zarządu oddziału lubelskiego?) i „KSS KOR”. Kiedyś otrzymywałem listy, również na maszynice pisane, które kierowano „do wiadomości KC PZPR”. Może pan, panie „Siemiątko”, również był ich autorem? Pytam o to, ponieważ znam ludzi, którzy przy powiewie takich czy innych wiatrów umieją zmieniać swe zapędy o 180 stopni. Ludzi, którzy wczoraj pierwsi wznosili dźwięki do okłasków, a dziś pierwsi... gwizdzą.

A swoją drogą wysyłanie odpisów listów „do wiadomości” (czyjejkolwiek) zawsze mnie śmieszyło. W ramach odnośny zmieniając się adresat. Panie „Siemiątko”, czy aby o wszystkich pan pamięta? Może pomóc?

16.II. „Gazeta Krakowska” z 9 lutego zamieszcza na pierwszej stronie pięcioszpaltowy tytuł. Brzmie on tak: „Ostatnia dramatyczna noc w Bielsku-Białej w relacji reportera „Krakowskiej” J. Sadeckiego * Wałęsa zagina! * „Krakowska” pierwsza z informacją o wysłanniku prymasa * Biskup Dąbrowski „zakładnikiem”? * WRN-nagle odwołana — nie zgadza się na mianowanie wojewody bez konsultacji”.

Cenię „Gazetę Krakowską”, ale wolabym, aby nie czerpała wzorów z przedwojennych czerwoniaków. Dzieła się sprawy zbyt poważne; tytuły nadające prasę brukową można traktować co najmniej jako nietakt. Poniekąd również one dezinformują. Dzień później ta sama „Gazeta” musiała napisać: „Wczorajsza relacja z finału wydarzeń w Bielsku-Białej zbulwersowała Czytelników zwłaszcza pod tytułem: „Wałęsa zagina!” Odbieraliśmy zaniepokojone telefony. Przyznajemy, że tytuł może nie był zbyt fortunny. Jednak część naszych czytelników skończyła lekturę sprawozdania z Bielska-Białej na... tytule, a przecież w tekście cała rzecz się wyjaśnia...” I dalej: „Wydawało nam się, że tytuł główny i podtytuły wprowadziły Czytelników w dramatycznie skomplikowaną sytuację w Bielsku. Okazało się jednak, że w próbie oddania syntetycznymi zdaniami nerwowej atmosfery zostaliśmy — zbyt pochopnie, po samych tylko tytułach — źle odeznani przez niezliczną grupę Czytelników...”

Wniosek: zdania powinny być nie tylko syntetyczne, ale i klarowne. A swoją drogą dopiero lektura artykułu Jerzego Locha w 7 n-rze „Polityki” daje jasny obraz tego, co zdarzyło się w Bielsku-Białej. I co w gruncie rzeczy zdarzyć się nie powinno...

19.II. Otrzymałem list z RFN. Mój znajomy pisze: „Przez nasze okienko na świat (telewizja) możemy oglądać również, co się u was dzieje. Masz rację pisząc, że prasa zachodnia podniosła larum i że tak źle to nie wygląda. Najspokojniej ponoć jest w oku tafauna. Ale ja się na meteorologii nie znam, bardziej już na sprawach kulinarnych. Wydaje mi się więc, że mamy tu do czynienia z bigosem po polsku, potrawą na ogół tutaj nieznaną. Tak samo jak nieznaną jest mieszanka polskiego spirytusu z coca-cola, która zresztą smakuje znakomicie. Polacy są bowiem narodem wynalazców. I w razie potrzeby zdolają ugotować zupę na gwoździu. Jednego tylko nie potrafią: polpykać żaby. Modę na ten „smakotyk” wprowadzili Francuzi, a po nich przejął to cały zgnili Zachód. On się tego tyle nalykał, że nie dziwota, gdy się sły-

szy (przez prasę) jego rechot. A ponieważ kawior jest bardzo drogi, więc konsumują w zamian żabi skrzek i wydalają kijanki...”

Coś w tym jest... A swoją drogą gdybyśmy umieli żywić się żabami, nasze kłopoty żywnościowe byłyby — przynajmniej okresowo — nieco mniejsze. Już oczami wyobraźni widzę te kartki na żaby, tylko w żaden sposób nie mogę odpowiednio rozdzielić tej masy towarowej. Żaba po polsku! — to jest to!

20.II. Wspominałem już w notatniku o biuletynach, wydawanych przez MKZ NSZZ „Solidarność” naszego regionu. Ostatnio otrzymałem dalsze numery, których lektura pogłębiła mój krytycyzm wobec tego typu wydawnictw; a ściślej — wobec sposobu ich redagowania. Aż dziw, bowiem w tzw. stopce widnieje i nazwisko Bronisława Kowalskiego, który zdobywał szlify dziennikarskie w „Sztandarze Ludu”, skąd przeszedł do „Kameny”. Na mocy odgórnych porozumień, o czym pisałem, aczkolwiek nie wymieniałem konkretnego nazwiska, urlopowałem go do pracy związkowej. Osobiście sądziłem, że talent Bronka (czytelniczki „Kameny” zapewne pamiętają jego publikacje) zostanie z pożytkiem wykorzystany dla pogłębienia procesu odnowy. Przyznaję, że się pomyliłem. Procesu odnowy nie może bowiem pogłębić chociażby publikacja w rodzaju: „Ludzie, którzy zdradzili naród polski i PZPR”, zamieszczona w 23 n-rze „Informatora Biuletynu Solidarność” z 18 lutego. (Gwoli jasności dodam, że w tym informatorze brak stopki redakcyjnej, ale traktuję go jako dodatek do samego biuletynu). Sformułowanie, że ktoś tam doszedł do władzy dzięki „poparciu Komitetu Żydów Polskich”, a ktoś tam znów jest „synem bankiera, Żyda z Kanady” przypomina mi propagandę goebbelsowską. Pisanie zaś o żonie pewnego b. przywódcy, że jest „kobietą prostą, bez wykształcenia” i że „jej wygląd i zachowanie wyjaśnia wszystko” świadczy o bezgranicznym prymitywizmie zarówno autora publikacji jak i tego, kto publikację do druku zatwierdził. A co mówić o takiej klarowności informacji o b. szefie radia i TV: „Obecnie było prowadzone dochodzenie wstępne do dn. 6.09.80 roku do chwili prawdopodobnego powieszenia się Szczepańskiego o godz. 10.00”. Bzdura goni bzdurę. Redaktor prawdopodobnie upił się o godz. 9.45 a o godz. 9.47 zasnął do pisania.

Przewodniczący MKZ NSZZ „Solidarność” naszego regionu, Jan Barczak, zakończył swe oświadczenie opublikowane w 22 n-rze „Informatora Biuletynu Solidarność” słowami: „Szczerze pragniemy, by proponowane dziewięćdziesiąt dni „zawieszenia broni” przekształciło się w trwałą pokój społeczny”. Pragnienie to warto jednak uwierzytelnić konkretnymi czynami. Trudno do tych konkretnych czynów zaliczyć całą czterostopniową zawartość „Informatora” oznaczonego numerem 23, a więc późniejszego od „Informatora” nr 22 dokładnie o dwa dni.

A może, panie przewodniczący, ktoś z bliżej niewyjaśnionych powodów chce po prostu wpuścić pana w maliny?

Wydaje mi się, że odpowiedzialność za słowo jest dzisiaj tą odpowiedzialnością, która wszystkim Polakom jest potrzebna szczególnie.

22.II. Aleksander Nawrocki pisze w styczniowym numerze „Nowego Wyrazu”: „... kiedyś nazajutrz po ogłoszeniu werdyktu Szwedzkiej Akademii o przyznaniu Nagrody Nobla Czesławowi Miłoszowi poszedłem do biblioteki ZLP, by odświeżyć sobie obraz jego twórczości, dostałem wszystkie książki poety, ale część z nich, m. in. „Światło dzienne” i „Doline Issy” nie rozciąga... „Komentarz? Zmienić bibliotekarkę! Strach już teraz pomyśleć, do czyich dzieł w siedzibie ZLP nikt nie zagląda (lub nie zaglądał)!”

M. A. Jaworski



Fot. J. Trembecki

SIEMIERC, to najnormalniejsze zjawisko w życiu ludzkim — jest zawsze zaskoczeniem. Szczególnym jednak wtedy, kiedy odchodzi ktoś w pełni sił i aktywności, ktoś, kto rokował nieustannie pewność bezpośrednich kontaktów ze swoim środowiskiem, z kolegami, ze sprawnymi, które go pasjonowały i którym poświęcił życie. Nie spodziewaliśmy się, że dzień 4 lutego 1981 roku przyniesie wiadomość o śmierci kogoś bliskiego nam — dziennikarzem, nam — mieszkańcom Lublina, nam — zainteresowanym w rozwoju spraw społecznych, politycznych i kulturalnych.

W lubelskim środowisku dziennikarskim pojawił się w roku 1956. Kto wówczas w tym środowisku się znajdował, pamięta, że Leszek Siemion wniósł z sobą istotną perspektywę humanistyczną i zdecydowany krytycyzm wobec wszelkich przejawów schematyzmu, co Mu umożliwiło zajęcie własnego, nigdy zdawkowego stanowiska w sprawach aktualnych, napiętych, pełnych społecznej i ideowej elektryczności. Zawsze lubił znajdować się na pierwszej linii. Nie oszczędzał siebie; jako dziennikarz nie ochraniał nawet jego kapitału, który zdobył w społeczeństwie swoimi odważnymi wystąpieniami przeciw małostkowości, nie mogącymi nie wzbudzić serdecznej aprobaty u ludzi krytycznych i umiających widzieć sprawy leżące poza sferą interesów osobistych.

Jego głos w sprawach zawodu, w sprawach środowiska dziennikarskiego i społecznego nigdy nie należał do zdawkowych. Trafiał w rozwiązania pryncypialne, nie gubiąc względu na indywidualny charakter i kwestii, i człowieka. Racjonalne i sensowne, ale nie obojętne i nie bezbarwne postawienie sprawy zawsze w wystąpieniu Siemiona znajdowało sprzymierzeńca. Jeśli wspomnimy, co Majakowski mówił o pasjonacie gorącej, a wrogu letniej wody, możemy uznać, że słowa te odnoszą się również do temperamentu, jaki prezentował Siemion. Przykład zaangażowania Siemiona w kwestie ludzkie i społeczne był zaradliwy. Można powiedzieć, że swoja postawą nieustannie bulwersował środowisko, nie pozwalając mu zostać biernym i obojętnym.

Nie znaczy to, że narzucał swoje zdanie. Jak umiał proponował i przekonywał, tak również słuchał. Ale umiał — i to najważniejsze — każdą z poruszanych spraw, bez względu na jej kaliber, widzieć na szerokim tle problemu w jego wymiarze zasadniczym. Miał instynkt działacza ideowego, który, odwołując się do generalności, nie gubi uwagi dla zwykłych i codziennych spraw ludzkich.

Potrzeba na to wiele kultury. Wiele kultury, która wynika z cech ludzkiej osobowości, a nie jest tylko rezultatem wykształcenia i orientacji intelektualnej. Taka Siemion zawsze miał i mimo Jego zdecydowania w sprawach priorytetowych z ufnością można było polegać na Jego rozważności i spokoju. Zawsze solidaryzował się z człowiekiem. Zawsze gotów był walczyć w obronie przed niemieckimi biurokratycznymi nakazami. Wyluskał ziarno ludzkiej prawdy z przytłaczającej nas skorupy nawarstwionych schematów — takim był zawsze i nie innym w pamięci koleżanów się zapisał.

Także i innych pamięć chciał ocalić od zapomnienia. Z nakładem wyżejonych starań, z udziałem nawet pedantycznej systematyczności troił to wszystko, co przynosiło świadectwo Ruchowi Oporu na Lubelszczyźnie, wychojąc z „jedynokrotnie podkreślanego założenia, że ludzkiem, który ojczyźnie nie szkodził krwi, należy się miejsce w naszej wdzieczności i pamięci. Jego książki o partyzantce podczas okupacji, o walkach wywołanych w niezapomnianym roku 1944 rozłożyły się przede wszystkim wśród czytelników wiejskich, dla których wydarzenia opisane jakże często były wydarzeniami z życia i w ich oświeceniu. Bez przesady można powiedzieć, że bezpodstępnie docieranie do historii, do działań wywołujących ludzi i grup ludzkich miało w osobie Siemiona swego w całym lubelskim środowisku pierwszego oredownika. Nielewna kronikarska karta Ruchu Oporu na Lubelszczyźnie została zapisana reka Siemiona i tym zyskał On sobie powód do uznania ze strony ducha poległych, ze strony ofiarnych i walczących.

Posiadał niezwykłą wrażliwość literacką. Satisfakcją było rozmawiać z nim o książkach, o piórkach, o zagadnieniach twórczości, o urodziwych kunsztownościach słowa poetyckiego. Sąd zawsze własny i oryginalny, a nigdy zapożyczony i schematyczny, charakteryzował Jego wypowiedzi. Niewdy nie dał się zasugerować miarami stosowanymi przez renomowanych krytyków. Jeśli te stały w sprzeczności z wyznawanym przez niego poglądem o potrzebie wierności życiu. Sam przeszedł — równoległe do swej działalności historiograficznej — zaczął pisać obszerną powieść obrazującą dzieje czterech ostatnich wiosek. Nie dokończył jej.

Do niedawna zeznając się z Leszkiem Siemionem — jego przyjaciele, koleżki i znajomi — rzucaliśmy zdawkowe, przytęte w obietwym języku: „Cześć, Leszek”. Dziś musimy powiedzieć: „Zegnaj na zawsze”. Ale czy rzeczywiście już tylko „Zegnaj”? Człowiek żyje tyle, ile żyje jego pamięć wśród ludzi. A ta w wypadku Leszka Siemiona nie da się zatrzeć przedko. Jeszcze i jeszcze będą krały wspomnienia o Nim, przypomnienia Jego słów, dowcipów, anegdot, Jego czynów i postępów. Jego — dziennikarza, społecznego działacza, dobrego kolegi, człowieka, który przetrwał życie, jeśli nie w pełnym rozmiarze, to w pełnym wymiarze ludzkim.

Zygmunt Mikulski

O patriotyzmie

Rozmowa z Janem Józefem Szczepańskim

MIROSLAW DERECKI: — Informator „Polscy pisarze współcześni” w haśle dotyczącym pańskiej osoby stwierdza: „Prozaik, reportażysta, scenarzysta filmowy, tłumacz literatury angielskiej (m. in. Greena, Huxleya) i francuskiej (m. in. „Kubiści. Rozważania estetyczne Apollinaire’a”). Jest pan autorem zbioru opowiadań „Buty”, wydanego po raz pierwszy w 1956 r., a podejmującego — najogólniej mówiąc — „tematykę partyzancką”, jest pan autorem książki „Polska jest — opowieści o kampanii wrześniowej, a także scenariuszy do filmów Tadeusza Różewicza „Wolne miasto” i „Westerplatte” oraz współscenarzystą realizowanego własnie przez Krzysztofa Zanussiego filmu o papieżu Janie Pawle II — „Z dalekiego kraju”. Opublikował pan scenariusz zatytułowany „Szary major” — o majorze Hubalu; zresztą pod realizacją filmową tego tematu nie chciał się pan później, z różnych względów, podpisać... Z szerokiej gamy pańskiej twórczości celowo wybieram pozycje łączące się z latami wojny, okupacji (mieści się w nich także częściowo scenariusz o życiu Karola Wojtyły) i tak silnie związanym z nimi problemem patriotyzmu. Sprawa patriotyzmu przebiega się wciąż w pańskim piśmiennictwie; rozpatruje ją pan z różnego dystansu i w rozmaitych aspektach. Bardzo charakterystyczne dla tego spojrzenia na patriotyzm wydaje mi się zakończenie opowiadania „Koniec legendy” ze zbioru „Buty” — dyskurs pomiędzy młodym, świeżo przybyłym „z lasu” partyzantem „Szarym”, a wytrawnym dyskutantem, socjologiem Sicińskim, mającym bardzo swoiste „idee” polityczne. „Szary” mówi: „Nie będę tego słowa bronił („patriotyzm” — MD), ani się przy nim upierał. Sprawy, o których mówimy, nie mają nic wspólnego z frazeologią uroczystych akademii. Nic. Zupełnie nic. U nas w lesie nie było gorszej obelgi jak powiedzieć komuś „ty patrioto, zbojalo”. [...] Zostawmy patriotyzm w spokoju. [...] Tu trzeba wymyślić jakieś nowe, nie sprostytuowane jeszcze słowo. A może lepiej nie wymyślać nic. W ogóle zrezygnować z terminu, który pana śmieszy; a mnie zawstydzia. [...] Może lepiej dogadamy się w ten sposób?”

JAN JOZEF SZCZEPANSKI: — No, fragment, który pan przytacza, to jest po prostu spór o etykiety. Dyskurs właściwy dotyczy pojmowania patriotyzmu: co jest patriotyzmem, a co tylko nacjonalizmem? To się chyba przewija w całej twórczości, to rozróżnienie: nacjonalizm i patriotyzm. Podchodząc do sprawy historycznie: kiedy pojęcie „patriotyzm” stało się pojęciem obiegowym? W wieku XVIII. Gdy polska społeczność zaczęła wychodzić z czasów saskich... Ale co ten termin wówczas oznaczał, w czasach Rzeczypospolitej Obojga Narodów, w tym tworze państwowym, w którym można mnożyć także takie rozgraniczenia: Żydzi, unicy, Litwini, Rusini itp? Otóż patriotci owego czasu to byli ci wszyscy ludzie, którzy chcieli uporządkować sprawę narodową. To jest bardzo ważne. Bo już w XIX wieku patriotyzm został wzięty w pacht przez ideologię narodową. I przez to stał się czymś podejrzany. Przykład: nacjonalistyczna „ideologia” prawicy, w której pojmowaniu patriotyzmu bardzo dobrze mieścił się antysemityzm... Patriotyzm został też skompromitowany na swój sposób przez niemal każdy establishment: wszystko, co jest zgodne z aktualnymi rządami — jest patriotyczne. I na odwrót: ci, którzy negują takie pojęcie patriotyzmu — nie są patriotami. Takie rozumienie patriotyzmu nie dotyczy tylko historii. Funkcjonuje, niestety, nadal. U nas, na przykład, zostało odkurzone i użyte w roku 1968...

MIROSLAW DERECKI: — Przytacza pan kolejne negatywne interpretacje patriotyzmu. Jaka jest jego interpretacja pozytywna tego terminu?

JAN JOZEF SZCZEPANSKI: — Rozumiem ja tak: poza faktem, że patriotyzm oznacza poczucie pewnej określonej wlezi wśród ludzi zamieszkujących ten sam obszar geograficzny, ten sam teren — jest patriotyzm przede wszystkim poczuciem wspólnoty kulturalnej. Ja wiem, co pan zaraz powie: że w ramach tych samych granic kulturowych istnieją przecież na swój sposób „zgrupowane” grupy o swoich własnych tradycjach kulturowych, na przykład Żydzi, ewangelicy... Ale przecież jednak jakimś zdecydowanym „wspólnym mianownikiem” tych różnych grup jest historia. Są wspólne doświadczenia zamieszkiwanego regionu, doświadczenia, które kształtowały pewne hierarchiczne wartości.

MIROSLAW DERECKI: — Istnieje przecież także rozbieżność między kulturą ludową, chłopską i kulturą szlachecką czy postszlachecką.

JAN JOZEF SZCZEPANSKI: — Zawsze istnieje pewna stratyfikacja. Można na przykład bardzo wiele cech kultury szlacheckiej obserwować w kulturze ludowej i na odwrót. Ale przecież nie dzielimy włosa na czworo. Patriotyzm jest wszak pojęciem — z założenia — pluralistycznym, dopusz-



Fot. CAF

czającym różne nurty. Tak długo, oczywiście, dopóki chodzi o wspólne interesy określonej ludzkiej wspólnoty.

MIROSLAW DERECKI: — Przejdźmy do dzisiejszych realiów, do czasów współczesnych. Jak by pan dzisiaj scharakteryzował człowieka patriotycznego, patriotę naszej doby?

JAN JOZEF SZCZEPANSKI: — Jest to, w moim rozumieniu, ktoś wierny wszystkim pozytywnym elementom wspólnej narodowej tradycji, ktoś, kto jest gotów owej tradycji bronić. Ktoś, kto się identyfikuje z pewną wartością niewzruszoną, wypracowaną przez wieki. Człowiek podpisujący się na przykład pod Konstytucją 3-Maja, a nie na przykład pod Targowicą... I jeszcze jedno: patriotyzm kojarzy mi się zawsze jakoś bardzo z głębokim humanizmem.

MIROSLAW DERECKI: — Wróćmy do literatury. Czy w obrębie współczesnej polskiej literatury można mówić o piśmiennictwie patriotycznym, takim kojarzącym się nam obiegowo z postawami wyznawanymi przez Mickiewicza, Słowackiego, Norwida, Żeromskiego, Kamila Baczyńskiego? Czy istnieje w dzisiejszej polskiej literaturze ktoś, kogo można by określić mianem pisarza patriotycznego?

JAN JOZEF SZCZEPANSKI: — Jestem przekonany, że tak. Dla mnie na przykład Paweł Jasienica czy Marian Brandys, czy też Antoni Słonimski lub Jan Parandowski, także Maria Dąbrowska — reprezentują w naszej współczesnej literaturze najczystszy nurt patriotyczny. Zresztą nie tylko oni, nazwiska można mnożyć.

MIROSLAW DERECKI: — Oni należą do pokolenia, które wyrosło z innej, niż dzisiejsza, epoki. I zresztą większość z nich już nie żyje. Chodzi mi o literatów tworzących współcześnie, o średnie i młode pokolenie.

JAN JOZEF SZCZEPANSKI: — Więc wymienię na przykład: Konwickiego, Baranacką, Zagajewskiego.

MIROSLAW DERECKI: — Odnosi się jednak na codzień wrażenie, szczególnie dotyczy to młodych i najmłodszych, że nie tyle nurt patriotyczny, nie tyle — filozoficzny czy psychologiczny, co raczej nurt „knajacki” dominuje w naszej literaturze. I że to on właśnie najbardziej pociąga młodych adeptów pióra.

JAN JOZEF SZCZEPANSKI: — Ja nie jestem tak bardzo pewien, czy nurt „knajacki” zdominował aż tak naszą literaturę. Powiedziałbym raczej, że on jest po prostu bardzo, na tle naszej współczesnej literatury, wyeksponowany. Po prostu w pewnym okresie pojawiło się wielu zdolnych ludzi, którzy wyznawali takie piśmiennictwo. Na przykład — Marek Nowakowski. Zresztą nurt, o którym mówimy, ta moda na takie właśnie piśmiennictwo, nie jest jakąś polską „specjalnością”, a zjawiskiem dużo szerszym, ogólnoswiatowym, wyrosłym pod wpływem literatury amerykańskiej. Tyle że w naszym, polskim wydaniu to się jeszcze szczególnie wyeksponowało jako swoisty, może często podświadomy, protest przeciwko tym różnym „wysokim tonom”, które dominowały tyle czasu i w naszej kulturze, i w naszej polityce. Myślę zresztą, że „knajackość” jest niejednokrotnie swoistym kamuflażem dla bardzo czysto i szlachetnie brzmiącego podskórnego tonu wielu „czarnych” utworów. Weźmy choćby takie opowiadanie Marka Nowakowskiego — „Mizerykordia”...

MIROSLAW DERECKI: — Mówi się, że młoda polska literatura w ostatnich latach jakby zadreptała w miejscu. Ze zdecydowanie wysunęło się przed nią młode polskie kino. Myślę, oczywiście, o tzw. „kinie moralnego niepokoju”, to ono właśnie przede wszystkim odwołuje się do owych wartości patriotycznych pojmowanych tak właśnie, jak pan je w naszej rozmowie ujmuję. Zgadza się pan z taką oceną? To już, nawiasem mówiąc, pytanie skierowane nie tylko do pisarza, ale trochę także — do prezesa Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich.

JAN JOZEF SZCZEPANSKI: — Tak. Ja się z tym zgadzam. Z tym, że jednak unikalbym ocen generalizujących. Bo, widzi pan, film jest sztuką „szybszą” niż literatura. Szybciej reaguje na pewne zjawiska i problemy, szybciej daje odpowiedź. Literatura reaguje zawsze wolniej.

MIROSLAW DERECKI: — Czy znaczy to, że reaguje wolniej, ale w efekcie — celniej?

JAN JOZEF SZCZEPANSKI: — Można by i taki wniosek wysnuć; ale zupełnie pewnym jest tylko to, że reaguje wolniej.

MIROSLAW DERECKI: — Młode polskie kino ma swoich „liderów”: Wojdę, Zanussiego — to mu pomaga. Młoda polska literatura nie ma natomiast żadnego „wodza”, któremu mogłaby zawierzyć, który by ją mógł poprowadzić...

JAN JOZEF SZCZEPANSKI: — Nie ma. I to może dobrze.

MIROSLAW DERECKI: — Bo co? Musi literatura być bardziej „samodzielna” niż film?

JAN JOZEF SZCZEPANSKI: Tak. I jest.

MIROSLAW DERECKI: — Film jednak skorzystał na faksie istnienia osób, które mu przecierały drogę.

JAN JOZEF SZCZEPANSKI: — Film jest sztuką, ale jest także przemysłem. Film to cała skomplikowana organizacja produkcji, to ekipa. To muszą być działania zespołowe. Film jest więcć niż literatura zależny od czynników zewnętrznych: potrzebne są pieniądze, sprzęt, taśma. Reżyser, szczególnie młody reżyser, potrzebuje ciągłej pomocy, żeby — w naszych warunkach — mógł zrealizować swoje zamierzenie. Więc tu nawet potrzebny jest jakiś taki „czołg”, który — jak pan powiedział — będzie przecierał drogę... A w literaturze działania są rozproszone.

Był okres, kiedy film trzymał się kurezowo literatury. Ukuto nawet określenie filmu jako sztuki „przyliterackiej”. A teraz coraz częściej mówi się o filmie autorskim. I to jest zjawisko bardzo pocieszające.

MIROSLAW DERECKI: — Tylko że im bardziej film robi się autorski, tym silniej się zbliża do literatury. Czy filmy Krzysztofa Zanussiego są bardziej dziełami „literackimi” czy też „filmowymi”?

JAN JOZEF SZCZEPANSKI: — Zanussi jest członkiem ZLP. I został przyjęty do Związku — o ile sobie przypominam — nie na podstawie swoich prac literackich — bo jeszcze wówczas nie opublikował swoich scenariuszy drukiem — ale na podstawie dzieł filmowych.

MIROSLAW DERECKI: — Jednak obecny, nowy statut ZLP nie przewiduje — zdaje się — podobnej ewentualności. Filmowiec, który kręci nawet najlepsze „literackie” filmy „z głowy”, postępując się tylko luźnym konspektem i improwizując na planie, nie zostanie przyjęty do ZLP, jeśli nie przedłoży komisji kwalifikacyjnej scenariusza „na piśmie” i w druku, spełniającego walory literackiego dzieła pisanego. Czy takie stawianie sprawy to nie pewien... „patriotyzm lokalny”?

JAN JOZEF SZCZEPANSKI: — Oczywiście w sztuce występuje coraz większa tendencja do zacierania granic. Taka jest prawda. Ale prawdą jest także, że trzeba się było w pewnym momencie w naszym związku ocknąć i zapytać: kto jest literatem? Bo przecież jednak trzeba się starać jakieś określone ramy stworzyć; w przeciwnym wypadku mógłby się nam Związek Literatów Polskich... rozmydlić.

Jakie mamy rolnictwo?

† Józef Łobocki

Jedną ze specyficznych cech polskiego rolnictwa jest — jak wiadomo — wysoki udział sektora indywidualnego w strukturze własności ziemi. W podobnej sytuacji spośród państw socjalistycznych znajduje się tylko Jugosławia.

Gospodarstwo chłopskie jest formą organizacyjną bardzo starą. Powstało ono jeszcze w okresie niewolnictwa, rozwijało się w feudalizmie, przetrwało kapitalizm i — jak dowodzi praktyka — w socjalizmie może całkiem nieźle funkcjonować.

Nasuwają się więc pytania, czy rolnictwo polskie jest socjalistyczne? Aby odpowiedzieć na to pytanie, trzeba przeprowadzić przynajmniej krótką analizę rolnictwa w pozostałych państwach socjalistycznych oraz porównać efektywność gospodarstw indywidualnych z gospodarstwami sektora uspołecznionego w Polsce.

W pozostałych państwach socjalistycznych podstawową formą organizacyjną w rolnictwie są wielkoobszarowe gospodarstwa państwowe lub spółdzielcze. One dają zatrudnienie ludności rolniczej i mają za zadanie produkcję żywności. Gospodarstwa te swoim członkom lub pracownikom oddają w użytkowanie niewielkie działki ziemi (najczęściej w granicach jednego hektara). Celem tych działek przyzagrodowych w zamysle było umożliwienie wyprodukowania na potrzeby rodzin rolniczych pewnych produktów żywnościowych (ziemniaki, owoce, warzywa, drób), na wytwarzanie których nie znalaziono miejsca w specjalistycznych gospodarstwach wielkoobszarowych.

Z czasem te działki przyzagrodowe przejęły na siebie wytwarzanie, już nie tylko wspomnianych produktów, ale i produkcję zwierzęcą, w skali znacznie przekraczającej samozaopatrzenie pracowników rolnych. Zbывая swoje produkty na wolnym rynku, stały się więc trwałym elementem systemu organizacji produkcji żywności. Z działek przyzagrodowych na Węgrzech pochodzi około 60 proc. ziem-

niaków, owoców i warzyw oraz połowa produkcji zwierzęcej. Niewiele niższy udział w produkcji żywności mają działki przyzagrodowe w ZSRR.

Chłopskie gospodarstwo w Polsce obejmuje przeciętnie 5 ha, ziemi, z której utrzymuje się 4 osoby. Pewną część produkcji tych gospodarstw idzie na samozaopatrzenie. Następuje jednak ciągły wzrost produkcji na sprzedaż. Wielkość produkcji towarowej zależy od rozwoju rynku i specjalizacji poszczególnych gospodarstw. Gdyby wzrosło zaopatrzenie rynku wiejskiego w artykuły spożywcze, należałoby przypuszczać, że udział samozaopatrzenia zmniejszyłby się do niezbędnego minimum. Wielkości te nie wpływają jednak na ogólny bilans produkcji żywności; rozszerzenie rynku wiejskiego poprawiłoby jedynie poziom konsumpcji ludności wiejskiej i zwiększyłoby jej racjonalność.

Istotną cechą gospodarki chłopskiej w Polsce jest szerokie jej powiązanie z sektorem państwowym. Gospodarstwa prywatne dostarczają ponad 90 proc. wytworzonych produktów do skupu uspołecznionego po cenach ustalonych przez państwo. Również według tak ustalonych cen (tylko, że niejednokrotnie wyższych od stosowanych wobec uspołecznionych producentów) zakupują prawie całość środków produkcji i usług.

Tak więc ta masa małych producentów żywności jest wmontowana w system planowania zarówno po stronie produkcji żywności, jak też w rozdziale środków do jej produkcji. W ten sposób aparat państwowy sprawuje pełną kontrolę nad podstawowymi wielkościami ekonomicznymi indywidualnych gospodarstw. Kontrola dochodów ma na celu utrzymanie określonego ich paritetu w stosunku do działów pozarolniczych, aby utrzymać określony poziom spożycia i reprodukcji rozszerzonej w gospodarstwach indywidualnych.

Należy również spojrzeć na zgodność istniejącego stanu indywidualnej własności w rolnictwie z podstawowymi zasadami socjalizmu. Czy ta sytuacja

może rodzić poważniejsze sprzeczności w społeczeństwie? Z taką sprzecznością mielibyśmy zapewne do czynienia wówczas, gdyby ziemia była środkiem wycisku jednych grup społecznych przez drugie. Udział pracy najemnej w ogólnym bilansie pracy gospodarstw indywidualnych nie przekracza jednak 2 proc. Zjawisko to występuje w określonych gospodarstwach o bardzo intensywnej produkcji, np. sadowniczej czy szklarniowej. Ten typ gospodarstw jest wynikiem określonej polityki rolnej, która umożliwiła wysoką koncentrację kapitału, stwarzając im pozycję quasi-monopolistyczną, dając wysoki zysk nieznacznej grupie osób nie zawsze dotychczas zajmującej się rolnictwem.

Nie chodzi mi bynajmniej o krytykę podejmowania się produkcji rolnej przez ludzi z innych działów gospodarki, ale o sposób, w jaki dokonała się wspomniana koncentracja kapitału, która nie jest wynikiem akumulacji w rolnictwie. A jeżeli już jakimś przy problemie akumulacji, to omawiany przypadek stanowi dowód na niewydolność finansową rolnictwa. Gospodarstwa, gdzie występuje najem — po pierwsze są bardzo nieliczne, koncentrują się w określonych regionach i dziedzinach produkcji, a — po drugie — mają niewiele wspólnego z gospodarstwem chłopskim, o którym tu cały czas mowa. O ile jest coś niezgodnego z socjalizmem w gospodarstwach chłopskich, to warunki, w jakich pracują ich właściciele, i pogłębiająca się dysproporcja dochodów między miastem a wsią na niekorzyść wsi.

Przyjrzyjmy się miernikom działalności poszczególnych sektorów w rolnictwie. Gospodarstwa chłopskie użytkują 75 proc. wszystkich użytków rolnych, gdzie wytwarzają 78 proc. produkcji globalnej w rolnictwie. W przeliczeniu na 1 ha wartość produkcji w gospodarce uspołecznionej wynosi 30 tys. zł, a w indywidualnej 35 tys. zł. Produkcja globalna nie jest precyzyjnym miernikiem efektywności, gdyż obok produkcji czystej, faktycznie wytworzonej w przedsiębiorstwie, zawiera wartość materiałów i usług zużytych do jej wytworzenia. Znacznie klarowniejszy obraz otrzymamy, jeśli porównamy nakład z efektem. Rocznik statystyczny GUS z 1980 r. podaje, że w roku 1979 z każdego tysiąca złotych nakładów materialnych w gospodarce indywidualnej powstała produkcja globalna równa 1627 zł, w PGR-ach — 1098, spółdzielniach produkcyjnych — 1083 zł i w kółkach rolniczych — 654 zł. Wielkości te są, na tyle czytelne,

stąd w jej gestii pozostawać musi dobór kadry kierowniczej (dyrektora);

— utrzymywanie branżowych ministerstw przemysłowych, których nawet w przyszłości nie zamierza się likwidować;

— enigmatyczne zasady ochrony przez państwo (lub — co jeszcze dziwniejsze i absurdalne — przez handel) praw konsumentów, co powinno być zastąpione najskuteczniejszym sposobem obrony przez samych zainteresowanych (ruch konsumencki);

— ograniczające samodzielność jednostek gospodarczych administracyjne ustalanie cen (przedsiębiorstwo może podejmować trafne decyzje w oparciu o analizę rynku, nie może jednak przewidzieć woluntarystycznych decyzji PKC, które — jak uczy doświadczenie — były bardzo nieelastyczne).

Kolejnym ostro odczuwalnym mankamentem „Założeń” jest brak zabezpieczeń reformy. Stanowczo zbyt wiele swobody pozostawiają one rządowi, który może — podobnie jak w dotychczasowych próbach — wycofać się, nie doprowadzając reformy do końca. Dla zapewnienia faktycznego przeprowadzenia reformy powinna ona przybrać postać ustawy sejmowej określającej treść i okres wprowadzania poszczególnych zmian. Idzie o to, by władza wykonawcza była zobowiązana ustawowo do przeprowadzania określonych zmian i to w określonym czasie.

Wprowadzenie reformy będzie pociągało za sobą racjonalizację zatrudnienia. W pierwszym etapie poprzez redukcję ogromnie rozrosniętej „szary” administracji gospodarczej (państwowej i partyjnej), tak centralnej jak i terenowej, a następnie przez redukcję zbędnego, nieracjonalnego zatrudnienia w przedsiębiorstwach. Konieczne jest zatem uruchomienie środków pozwalających na racjonalne, społecznie pożądane zatrudnienie zwolnionych pracowników (proces kształcenia zawodowego, przejściowe zasiłki itp.) między innymi w bardzo słabo rozrosniętej sferze usług. W modelu docelowym (po umocnieniu samorządności i samodzielności przedsiębiorstwa) należy zapewnić silne i trwałe powiązanie pracownika z przedsiębiorstwem i zainteresowanie go rozwojem przedsiębiorstwa m. in. przez gwarancje dotyczące jego zatrudnienia. W innym przypadku wystąpią wśród załóg tendencje do nacisku na płace kosztem funduszu rozwoju przedsiębiorstwa.

Niebezpieczne dla reformy jest pozostawienie furki dla systemu nakazowego. Wyraża się to w tezie, że najpierw trzeba przywrócić równowagę ekonomiczną, a po tym dopiero nastąpi etapowe wprowadzenie reformy. Jest to wiara (wynikająca chyba z niechęci do reformy, do nowych, nieznanych jeszcze sposobów działania) w leczenie przy pomocy środków, które wpędziły w chorobę. Nakazy i reglamentacja były narzędziami, na których opierał się słynny „manewr gospodarczy” sprzed kilku lat. Manewr wykazał dowodnie, że bez zmiany systemu gospodarczego równowagi nie da się zapewnić. Stąd niezbędne jest „uderzenie”

Założenia reformy czy reforma założeń?

Dokończenie ze str. 1

gospodarki: rolnictwa, handlu zagranicznego i wewnętrznego, kierowania gospodarką w układach regionalnych, systemu inwestycyjnego. Niezrozumiałe jest, dlaczego dla rolnictwa państwowego (PGR) ma być tworzony odrębny system ekonomiczno-finansowy. Dobrze zbudowany model kierowania gospodarką powinien mieć charakter na tyle uniwersalny, aby obejmować całość życia gospodarczego. Zbyt mało miejsca poświęcono sektorowi indywidualnemu i formom kooperacji w rolnictwie. Za słabo — naszym zdaniem — zaakcentowany jest socjalistyczny charakter indywidualnej gospodarki rodzinnej w rolnictwie i rzemiośle.

Jeden z istotnych braków dokumentu to zupełnie pominięcie związków reformy gospodarczej z reformą polityczną. Samorządność i samodzielność przedsiębiorstwa, jeśli nie ma być fikcją, wymaga definitywnego oddzielenia sfery gospodarki, szczególnie na poziomie przedsiębiorstw, od sfery polityki. Decyzje musi podejmować ten, kto ponosi ryzyko związane z ich realizacją, tj. załoga przedsiębiorstwa i wybierany przez nią dyrektor. W przeciwnym przypadku nie nastąpi „upodmiotowienie” załogi, a zatem i faktyczne uspołecznienie środków produkcji. W rządowym projekcie — w odróżnieniu od innych — problem ten jest zupełnie pominięty, a niektóre sformułowania wskazują, że w dalszym ciągu planuje się utrzymanie pewnych rozwiązań sprzecznych z istota reformy. Na przykład we fragmencie poświęconym decyzjom Centrum znalazł się punkt mówiący o doborze i ocenie kadr kierowniczych w sposób wskazujący na możliwości utrzymania dotychczasowej praktyki „nomenklaturowej”, tak fatalnie odbijającej się na funkcjonowaniu gospodarki. W systemie samorządności i samodzielności przedsiębiorstwa zawarty jest mechanizm oceny kadry. Miernikiem oceny mogą być jedynie efekty, jakie osiąga przedsiębiorstwo i jego załoga. Wszelkie oceny

zewnętrzne są sprzeczne z logiką reformy. Ze względu na bezpośrednie zainteresowanie Centrum realizacją zleconych zadań, a nie wynikami działalności przedsiębiorstwa, ocena kadry kierowniczej przestaje opierać się na efektywności pozycyjn, a zaczyna — na lojalności kadry. Toteż w „Założeniach” powinny się znaleźć zasady reformy systemu politycznego, które zawarte są we wprowadzeniu do „raportu o reformie” zespołu Balcerowicza (m. in. wyeliminowanie wpływu aparatu partyjnego na bieżące zarządzanie gospodarką, wzrost autentyczności i uprawnień organów przedstawicielskich itp.).

Omawiany dokument jest wyraźnie wewnętrznie niespójny, a w wielu miejscach wręcz sprzeczny. Odnosi się wrażenie, że poszczególne zespoły przygotowujące różne jego części miały odmienne, czasami wzajemnie wykluczające się poglądy na kwestie reformy. Wynika to zapewne ze zbyt licznego składu osobowego zespołów i sprzeczności interesów zasładających w nich członków. Do najbardziej konserwatywnych należą fragmenty dotyczące funkcji centralnych organów państwowych oraz zakresu decyzji i narzędzi kierowania na szczeblu centralnym. Najbardziej postępowe (choćkolwiek niezupełnie konsekwentne) są części dotyczące przedsiębiorstwa socjalistycznego i samorządu załogi przedsiębiorstwa oraz planowania centralnego. Najwidoczniejszymi sprzecznościami są:

— podejmowanie przez władze państwowe decyzji o łączeniu przedsiębiorstw, co ogranicza samodzielność przedsiębiorstw, ich odpowiedzialność i samorządność;

— centralny system płacowy (flaryfikatory, stawki) i uprawnienia Ministerstwa Pracy, Płacy i Spraw Socjalnych do ustalania zasad dopływu kadr do przedsiębiorstwa, co także sprzeczne jest z autonomią przedsiębiorstw;

— propozycje powoływania dyrektora przez organ nadrzędny (lub akceptowanie przez ten organ wyboru samorządu), co koliduje z bezpośrednią odpowiedzialnością załogi za efekty pracy,

że chyba zbędne jest ich omawianie. Należy może zatrzymać się przy kółkach rolniczych, które nie tylko, że nie wytwarzają nowej wartości, ale zmniejszają dochód narodowy. Gdyby kółka rolnicze zaniechały produkcji żywności, wypłacając zatrudnionym pracownikom dotychczasowe świadczenia, to nasz dochód narodowy wzrosłby w 1979 r. w skali kraju o 3,7 mld. zł. Znany jest szereg czynników, które tłumaczą podwyższone koszty w tym sektorze, ale chyba nie do takiej wysokości.

Z przedstawionych tu wielkości wynika znacznie wyższa efektywność gospodarki indywidualnej nad pozostałymi sektorami. Nie należy jednak rozumieć gospodarstwa chłopskiego jako z istoty swej wysoce efektywnego, bo takim być nie może. W warunkach drobnych gospodarstw nie ma możliwości poprawnego „dopasowania” czynników wytwórczych (praca, ziemia, kapitał); są to za małe warsztaty produkcyjne, aby te wielkości mogły pozostawać we właściwej proporcji (przynajmniej w większości przypadków). Gospodarstwo wielkoobszarowe jest bardziej efektywną formą organizacyjną, na co mamy cały szereg dowodów teoretycznych i praktycznych (głównie za granicą), aczkolwiek rolnictwo jest specyficzną gałęzią gospodarki i koncentracja produkcji nie w każdym warunkach daje proporcjonalnie jej przyrosty, tak jak to obserwujemy w gałęziach pozarolniczych. Niższa efektywność naszej gospodarki uspołecznionej wynika przede wszystkim z gorszej organizacji. Natomiast na efektywność gospodarstw chłopskich mogą wpływać pewne czynniki pozaekonomiczne o charakterze jakościowym, jak tradycyjne przywiązanie do ziemi, umiłowanie zawodu.

Argumentem świadczącym o niskiej efektywności polskiego rolnictwa jest import 10 mln. ton zboża i pasz, przy ujemnym saldzie obrotów w handlu zagranicznym produktami pochodzenia rolniczego, i to w kraju, gdzie co czwarty czynny zawodowo obywał pracując w rolnictwie.

Wielkość produkcji żywności zależy od trzech podstawowych czynników: ilości ziemi rolniczo wykorzystywanej, zatrudnionych ludzi i środków produkcji oraz od wzajemnych relacji tych czynników.

Areal użytków rolnych na jednego mieszkańca w związku z ekspansją przemysłu, procesami urbanizacji i przyrostem naturalnym ciągle się zmniejsza, ale jesteśmy pod tym względem w korzystniejszej

sytuacji niż Europa i świat. Warunki przyrodnicze mamy mniej korzystne, ale na obecnym etapie nie one są barierą wzrostu produkcji.

Zatrudnienie w polskim rolnictwie jest wysokie — 26,7 proc. zawodowo czynnych, nieco gorzej z wykształceniem i strukturą wiekową rolników. Ciągłe jednak uważa się rolnictwo za główny rezerwuuar siły roboczej.

Najmniej korzystna sytuacja występuje w zakresie wyposażenia w środki produkcji. Rolnictwo otrzymuje jedynie 4—5 proc. produkcji przemysłu; jest to o wiele za mało, żeby zabezpieczyć potrzebne przyrosty produkcji żywności. Nie ulega więc wątpliwości, że czynnikiem będącym w minimum są środki produkcji. Ciągły ubytek ziemi i ludzi z rolnictwa może być zastąpiony jedynie odpowiednimi przyrostami środków produkcji, stąd deficyt się pogłębia.

Bardzo istotnym problemem jest rozdysponowanie środków produkcji pomiędzy poszczególne sektory. Gospodarstwa indywidualne, które użytkują 3/4 ziemi, wydają na inwestycje niewiele ponad 30 proc. wszystkich nakładów na ten cel w rolnictwie. Wygląda to tak, że na 1 ha w sektorze nieuspołecznionym przypada 2,3 tys. zł, a w uspołecznionym — ponad 10,6 tys. zł. Dysproporcje te częściowo mają swoje źródło w niewydolności finansowej gospodarki chłopskiej. Na obecnym etapie wzrost dochodów rolników niewiele zmieni, ponieważ nie działają tu prawa rynku, a podział w systemie nakazowo-rozdzielczym dokonuje się centralnie.

Mamy więc sytuację, gdzie deficytowe środki do produkcji rolnej są przyznawane poszczególnym sektorom w stosunku odwrotnie proporcjonalnym do efektywności ich wykorzystywania.

Istnieje pilna potrzeba korekty podziału środków produkcji według efektywności ich wykorzystania, choć możliwości w tym względzie są ograniczone. Zabezpieczenie pewnego minimum dla sektora uspołecznionego, szczególnie dla PGR-ów i rolniczych spółdzielni produkcyjnych, jest konieczne. Struktura rzeczowa środków produkcji, przede wszystkim dóbr inwestycyjnych, wyznacza również kierunki rozdysponowania, a przy mobilności naszego przemysłu jest to działanie długookresowe. Ciężkie ciągniki i maszyny oraz wielkie kombajny nie zawsze znajdują zastosowanie w gospodarce drobnotowarowej.

O wiele większe możliwości istnieją w zakresie przesunięć środków obrotowych. Przesunięcie ich z sektora uspołecznionego do indywidualnego może odbić się ujemnie na intensywności produkcji w pierwszym, zwiększy jednak efektywność wykorzystania.

Mam tu szczególnie na myśli nawozy mineralne i pasze. Sektor uspołeczniony zużywa dwa razy więcej nawozów na hektar niż indywidualny. Czynnikiem, który dałby największe korzyści, są pasze. Możliwość zakupu pasz przemysłowych pozwala drobnym gospodarstwom na wykorzystanie pasz wytworzonych w gospodarstwie, które bez pasz przemysłowych są niewykorzystane.

Istnieje również pilna potrzeba pewnych przesunięć ziemi PFZ w celu poprawy struktury agrarnej gospodarstw chłopskich. Oczywiście wszystkie przesunięcia powinny odbywać się jedynie wtedy, gdy w ich wyniku wzrośnie efektywność wykorzystania ziemi bądź środków produkcji.

Zapewnienie społeczeństwu odpowiedniej ilości żywności wymaga stworzenia korzystnej atmosfery wokół własności indywidualnej w rolnictwie. Dotychczasowa polityka równego tempa wzrostu dochodów dla ludności rolniczej i nierolniczej jest niekorzystna dla pierwszej grupy, gdyż przy różnych podstawach wyjściowych pogłębia się dysproporcja dochodów. Nie może być podstaw do przewidywania większych przyrostów produkcji z chłopskich gospodarstw bez umożliwienia im zakupu środków produkcji, które — z jednej strony — są warunkiem organizacji produkcji, z drugiej natomiast — najsilniej motywują decyzje produkcyjne. Ceny pozostają narzędziem sterowania strukturą produkcji, a nie jej wielkością.

Korzystna polityka w stosunku do sektora indywidualnego w rolnictwie nie może mieć charakteru koniunkturalnego, — musi być ciągła. Dopóki gospodarstwa chłopskie miały charakter bardziej naturalny, zmiana polityki na niekorzystną dla nich nie wywoływała spadku produkcji. Obecnie, kiedy nawet drobne gospodarstwo rolne — podstawowe ogniwo produkcji żywności w Polsce — jest powiązane całym szeregiem więzów z gospodarką narodową, krótki okres polityki rolnej niekorzystnej dla sektora indywidualnego może bardzo szybko odbić się ujemnie na produkcji. Społeczeństwo tego nie zaakceptuje.

we” wprowadzenie dobrze przygotowanego, kompleksowego projektu modelu gospodarczego, a nie jego wdrażanie etapowe. Takie wprowadzenie musi zostać poprzedzone zasadniczą reformą cenowo-płacową. Jej zasady powinno się wyneogocować ze związkami zawodowymi. Przy tym podwyżki cen żywności (i innych dóbr) muszą być rekompensowane w pełni dla grup najniższej zarabiających i szczególnie uposażonych, częściowo (degresywny charakter rekompensaty) dla grup lepiej zarabiających, a powyżej pewnego pułapu rekompensata nie powinna być stosowana.

Przechodząc do próby zaprezentowania naszego stanowiska, podkreślić trzeba oczywiście tezę, że docelowy model funkcjonowania gospodarki musi być podporządkowany celom reformy. Przypomnijmy, iż reforma ma dwa cele. Jednym, o którym najczęściej się mówi (także w dokumencie), jest zapewnienie efektywności gospodarowania przez przejście od rozwiązań administracyjno-prawnych do ekonomicznych. Drugim nie mniej ważnym celem jest „upodmiotowienie” pracowników. Cel to być może ważniejszy, bo warunkuje skuteczność działań zmierzających do wzrostu efektywności. Polega on na faktycznym uspołecznieniu środków produkcji przez stworzenie systemu samorządności wytwórców oraz uspołecznieniu centralnych strategicznych decyzji gospodarczych przez zapewnienie autentycznie decydującej roli społeczeństwu w wyborze kierunków rozwoju. Oznacza to konieczność przebudowy systemu powoływania organów przedstawicielskich (sejmu, rad narodowych), jak i sposobu podejmowania przez nie strategicznych decyzji ekonomicznych.

Demokracja ekonomiczna (samorządność społeczeństwa) musi być wbudowana w model gospodarczy, aby reforma przyniosła spodziewane efekty. Efekty reformy zależą bowiem dziś, jak nigdy dotąd, od szerokiego społecznego poparcia. Żaden system manipulatorsko-meniadżerski takiego poparcia nie uzyska. Jedynie samorządowy będzie oznaczać faktyczne uspołecznienie środków produkcji, ograniczać alienację pracy wynikającą z podziału na kierujących i wykonawców, zapewniać podział według społecznie uznanych nakładów pracy, tj. zbliżać się do wielkich idei marksistowskiego humanizmu. Przyjęcie systemu samorządowego, jako modelu docelowego, wiąże się z koniecznością radykalnej decentralizacji decyzji w sferze gospodarczej i przeniesienia ich na szczebel przedsiębiorstwa. Przesądza to rodzaj instrumentów i mechanizmów ekonomicznych, jakie Centrum może wykorzystywać w procesie kierowania gospodarką całego kraju. Jego rola powinna wyrażać się w podejmowaniu decyzji o charakterze strategicznym i realizować się poprzez planowanie wieloletnie, a nie poprzez bieżące zarządzanie, jak to było dotychczas. Podstawowe znaczenie ma problem funkcjonowania przedsiębiorstw. Jednostki gospodarcze powinny być w pełni samodzielne we wszystkich sferach swojej działalności. Wyrażać się to musi w powołaniu samorządu pracowniczego, kierującego działalnością poszczególnych jednostek. Kompetencje samorządu nie mogą ograniczać się tylko do decydowania o sprawach produkcyjnych, ale

powinny one polegać także na prowadzeniu polityki kadrowej w ramach przedsiębiorstwa, w tym również w powoływaniu i odwoływaniu kadry kierowniczej zarządzającej bieżącą działalnością produkcyjną.

Ważną kwestią jest pełna dobrowolność związków przedsiębiorstw. Z drugiej strony muszą istnieć także normy prawne przeciwdziałające tworzeniu się monopolii posiadających możliwości realizacji własnych interesów partycularnych kosztem interesów społecznych. Odnosi się to do sfery działalności produkcyjno-usługowej i handlu detalicznego. Chodzi o to, by konsumenci nie byli jednostronnie uzależnieni od zmonopolizowanych jednostek gospodarczych. Zapewnienie realizacji interesów konsumentów wymaga stworzenia nowych form konkurencji rynkowej, w tym także ze strony importu uzupełniającego ofertę producentów krajowych.

Głęboki kryzys polityczny i gospodarczy, jaki występuje obecnie w naszym kraju, stwarza szczególnie duże wymagania przy określaniu sposobów wdrażania nowego systemu kierowania do praktyki. Zapewnienie skuteczności realizacji reformy wymaga przede wszystkim uzyskania akceptacji społeczeństwa dla koncepcji reformy i sposobu jej wprowadzania. Społeczeństwo musi być poinformowane o długofalowych korzyściach, jakie osiągnie w wyniku przeprowadzenia zmian systemu kierowania, i o kosztach, jakie będą z tym związane. Należy również określić, które grupy społeczne i w jakiej wysokości będą obciążone tymi kosztami. Powinno to być grupy — o czym wspominaliśmy — o stosunkowo wysokich dochodach.

W okresie dochodzenia do modelu docelowego konieczne jest przeprowadzenie szeregu odcinkowych zmian. Dotyczy to głównie:

- radykalnego rozbitcia istniejącego systemu biurokratycznego i stworzenia nowej struktury organizacyjnej gospodarki narodowej (m.in. należy zlikwidować zbędne pośrednie szczeble zarządzania, centrale związków spółdzielczych itp.);
- oddzielenia administracji gospodarczej od władzy politycznej;
- przeprowadzenia istotnych zmian w poziomie i strukturze cen w kierunku ich urealnienia, dostosowania do wymogów modelu reformy oraz zrównoważenia gospodarki. Posunięcia cenowo-płacowe muszą bezwzględnie uzyskać pełną akceptację społeczeństwa. Nie mogą one stanowić jednego środka przywracania równowagi. Należy jednocześnie uruchomić narzędzia wyzwalające rezerwy produkcyjne tkwiące w naszej gospodarce.

Piotr Karpus
Sławomir G. Kozłowski
Michał Zieliński,
Andrzej Żuk

TWORZYMY WOJEWÓDZKI KLUB KONSUMENTÓW!

NIE ma w kraju towarów konsumpcyjnych i usług dla ludności. Więc — choć to paradoks — tym bardziej atrakcyjna powinna być ich jakość, ceny i asortyment. Nie stać nas na produkcję drogich tandety rynkowej w myśl porzekadła: „Klient wszystko kupi!” Trzeba zagwarantować konsumentowi wszechstronną ochronę jego interesów!

Dlatego redakcja „Kamena” przyłącza się do inicjatywy „Życia Gospodarczego” oraz Instytutu Handlu Wewnętrzznego i Usług w sprawie powołania ogólnopolskiej FEDERACJI KONSUMENTÓW, której agendami byłyby terenowe i wojewódzkie kluby konsumentów.

Przystępujemy do organizowania Wojewódzkiego Klubu Konsumentów w Lublinie. Zgłaszajcie pod adres naszej redakcji swój akces do Klubu! Przyjmujemy zarówno zgłoszenia indywidualne, jak i zbiorowe od tych, którzy zechcą tworzyć terenowe kluby konsumentów we wsiach, miasteczkach i osiedlach większych miast woj. lubelskiego. Liczymy też na przystąpienie organizacji społecznych i instytucji.

Prosimy o podawanie nazwiska (nazwy organizacji lub instytucji), zawodu i adresu. Będziemy regularnie publikować listę nowo wstępujących do ruchu ochrony praw konsumenta w naszym województwie. Nadsyłajcie stale informacje (zdjęcia, metki handlowe, rachunki itp.) o towarach i usługach niskiej jakości, niefunkcjonalnych bądź za drogie, podając ich producentów (wykonawców) i pamiętając, iż w pojęciu towaru mieści się zarówno puszka konserw jak i mieszkanie. Będziemy — drogą publikacji prasowych — interweniować u producentów (wykonawców), szukać przyczyn wadliwości towarów i usług. Zgłaszajcie propozycje odnośnie celów, zasad i organizacji ruchu konsumentów.

Przewidujemy niebawem — jeśli nasza inicjatywa spotka się z zainteresowaniem społecznym — zebranie organizacyjno-programowe oraz podjęcie kroków celem rejestracji Klubu i rozpoczęcia jego działalności w ramach Federacji Konsumentów. Pamiętajcie, że przyszłość rynku zależy także od Was!

(P)

Wokół „cudownej meliny”

Józef Zięba

Z Henrykiem Pająkiem siedzieliśmy wytrwale przez cały czas obrad Zjazdu na tej samej sali w gmachu ZNP w Warszawie. Dzisiaj nas jedynie rząd stołów oraz formalny status delegata i obserwatora. Skoro więc dwaj bliscy znajomi siedzący na tej samej sali, przysłuchując się tej samej dyskusji, dochodzą do odmiennych wniosków, to zapewne patrzyli na te same sprawy z innej perspektywy.

Wydaje mi się, że ocena Zjazdu przedstawiona przez Henryka Pajęka wynika z zajętego przez niego stanowiska. Patrzył na Zjazd literatów, jak na próbę sił dwu ścierających się ugrupowań politycznych. Jednak pod koniec artykułu jak gdyby sam sobie zaprzeczył, mówiąc o „olbrzymiej, decydującej o stanie i losach literatury polskiej — grupie centrum”. Dokładnie nie wiadomo, na jakiej podstawie dokonuje tych podziałów, ale nawet gdyby przyjąć istnienie takich grup, to i tak ich starcia na terenie Związku nie mają większego znaczenia wobec istnienia tej właśnie „decydującej o stanie i losach literatury polskiej — grupy centrum”.

W tej sytuacji starcia grup i frakcji politycznych należy przenieść na margines życia literackiego. Autor artykułu sprawy te, z nie wiadomo jakiego powodu, z marginesu wysunął na plan pierwszy. Nic więc dziwnego, że w konsekwencji uzyskał daleki od rzeczywistości, mocno skrzywiony obraz. Z tej perspektywy łatwo już było sformułować pogląd, że Zjazd był tylko „grą polityczną o władzę polityczną”; tym łatwiej, że autor przyjmuje za pewnik, jakoby „żadna dziedzińska sztuka nie tkwiła swoimi korzeniami w polityce tak mocno jak literatura”. Jednak ani historia literatury polskiej, ani współczesność szeroko widzianego życia literackiego kraju nie potwierdzają tego.

Istnienie wśród innych dziedzin twórczości literackiej tzw. literatury

daje prawa obywatelstwa ani w samej literaturze polskiej, ani tym bardziej w życiu Związku Literatów. Nie przyjmuje również do wiadomości istnienia kilku innych, klarownych dla większości uczestników Zjazdu, przesłanek politycznych, jakie zdominowały Zjazd: określonych ugrupowań, frakcji i tej najważniejszej formacji w Związku, którą umownie, przenośnie (bo jakże inaczej) przyszło mi za A. Międzyrzeczkim nazwać „rodziną duchową”. Gdyby Szanowny Kolega rzeczywiście nie wiedział o tym, że ZLP w swoim życiu związkowym aż kipi od tych sprzeczności, a także o tym, że owa „rodzina duchowa” rzeczywiście zdominowała życie Związku Literatów, to wierzę, że niewiedza Kolegi i jego wątpliwości rozwiałyby się szybciej, bo już w drodze powrotnej ze Zjazdu, na trasie Warszawa—Lublin, w kilkugodzinnej „nocnej rozmowie” w przedziale kolejowym.

Wiem jednak, że Szanowny Kolega takim daltonistą związkowym i politycznym nie jest. Przekonanie o tym, że właśnie żaden z nas nie jest owym daltonistą, zwalnia mnie od konieczności polemizowania z tezami Kolegi, z których główne to: polityka jako margines życia związkowego; marginalność wpływu przeróżnych frakcji i grup; nieprawda o rozdaniu buław związkowych

politycznej też o niczym nie świadczy, bo i tuż można wyliczyć współczesnych pisarzy politycznych — kilku, kilkunastu? Znowu margines wysunął się na pierwszy plan.

Podobnie jest z działalnością grup politycznych na terenie Związku Literatów Polskich. Nie mogą one wpłynąć na status tej organizacji, z założenia skupiającej ludzi o różnych poglądach i przekonaniach politycznych jak i różnych programach literackich. Ta mozaikowa różnorodność stanowi o istocie Związku Literatów Polskich, opierającego swoją strukturę organizacyjną i działalność na podstawach demokratycznych, od których nie odstąpił w najbardziej niesprzyjających dla demokracji okresach.

Jak w każdej demokracji, podczas wyborów zwyciężają jedni, przepadają drudzy. Czy walka o zdobycie władzy w Związku rozgrywa się i na marginesie politycznym? Zapewne. Jeśli tak, to i tu ktoś poniósł porażkę, a ktoś czuje się zwycięzcą, ale nie ma to większego znaczenia. Jak długo istnieje ta przeważająca i nie angażująca się w spory polityczne „grupa centrum”, o los Związku i życia literackiego kraju nie należy się obawiać. Nadmierna radość politycznych „zwycięzców” czy rozpacz „pokonanych” nie zmienią stabilnych podstaw ogólnopolskiej literackiej organizacji.

Oczywiście każdy z członków Związku może solidaryzować się z jedną z grup i raz klaskać z radością, to znów zgrzytać zębami, ale jako publicysta winien zachować pewien obiektywizm, umiar i powściągliwość w formułowaniu i propagowaniu swoich prywatnych opinii. Tej powściągliwości w artykule Henryka Pajęka niestety zabrakło.

Jako jeden z delegatów nie mogę się zgodzić z twierdzeniem, że „był to w istocie zjazd kilkunastu liderów pewnej zwartej frakcji środowiska war-

wych na długo przed Zjazdem; „mija nie się z prawdą”; zaprzeczanie samemu sobie w ocenie roli „grupy centrum” (jako żywo, wyraźnie napisałem, że mimo targów ona rozstrzyga o życiu literackim w kraju i obliczu literatury); czy wreszcie — „niezręczne, tendencyjne albo wręcz mijające się z prawdą sformułowania”.

W trakcie lektury zaczął narastać mój niepokój: a może Kolega naprawdę tego wszystkiego nie dostrzega lub nie rozumie? Może — nie znając życia związkowego w samym jego składzie (choć przez 6 lat lojalnie składałem obszernie sprawozdania z zebrań ZG na zebraniach zarządu oddziału) — naprawdę Kolega nie chce znać prawdy, lecz trzymać bezpiecznie głowę w związkowym piasku?

Jeżeli tak, to skąd ta pewność siebie, ta nawałnica inwektyw pod moim adresem i ta wielka troska o czytelników „Kamenu”, okłamanych przeze mnie w tendencyjnym sprawozdaniu ze Zjazdu?

Jeżeli nie — to wytłumaczenie jest jedno — chęć przypodobania się. Komu? Oczywiście „rodzinie duchowej”. Przy okazji głęboki ukłon w stronę „grupy centrum”, czyli w stronę olbrzymiej większości członków ZLP, którzy w walkach udziału nie biorąc, po prostu piszą i dzięki temu nie potrzebują ani moich, ani Kolegi ukłonów.

szawskiego”. Jeśli „frakcja”, to nawet nie pełna lista 79 warszawskich delegatów. A reszta? To przecież przedstawiciele całego kraju. Jak się przedstawicielstwa poszczególnych środowisk mają do „frakcji warszawskiej”. Jest dla mnie tajemnicą. Ja w każdym razie do żadnej „frakcji” nie przystępowałem.

Nie zauważyłem również, by podczas wyborów do władz Związku i w głosowaniach nad poprawkami wprowadzonymi do Statutu funkcjonowała jakaś „demokracja miecza”. Do Zarządu Głównego weszli ci, którzy otrzymali największą ilość głosów. Zapewne nie rozumiem więc insynuacji Henryka Pajęka o rozdaniu związkowych buław na długo przed Zjazdem. Jak mi wiadomo, przed Zjazdem jedynie poszukiwano odpowiedniego kandydata do balawy hetmańskiej, ale do dźwignia tego ciężaru nie było chętnych. Dopiero po długich pertraktacjach i namowach zgodził się kandydować do tej najwyższej godności przedstawiciel Krakowa. Kandydaturę tę zaakceptowali w tajnym głosowaniu niemal wszyscy delegaci. Doprawdy nie wiem, czy należy to uznać za zwycięstwo, czy klęskę „warszawskiej frakcji”.

Chciałem jeszcze ustosunkować się do pewnych niezręcznych, tendencyjnych albo wręcz mijających się z prawdą sformułowań z artykułu Henryka Pajęka, ale by nie przedłużać sporu, ograniczę się jedynie do tytułu: „Cudowna melina”.

Ma on pochodzić, jak wyjaśnia autor, z jakiejś zakazanej książki. Niestety, nie znam jej treści i nie wiem, co przez ten tytuł w sensie metaforycznym można rozumieć. Nie ulega jednak wątpliwości, że ma on zabarwienie wyraźnie pejoratywne, zwłaszcza w sytuacji, gdy autor dodaje, że w tej „cudownej melinie” wszystkie chwytły się dozwolone.

Po przeczytaniu artykułu nie mogłem się domyśleć, do kogo to określenie się

Specjalizując się wszakże w sztuce umizgów, trzeba zachować szczytę obiektywizmu, a także poszanowania dla tych, którzy nie lekają się ryzyka i mają odwagę narazić się temu czy owemu, tym lub owym, bo przecież owa sztuka ryzyka ostatnio tak pięknie przyniosła rezultaty.

Pozostaje jeszcze sprawa sztuki polemizowania i kultury polemizowania.

„Do Zarządu Głównego weszli ci, którzy otrzymali największą ilość głosów. Zapewne więc nie rozumiem insynuacji Henryka Pajęka o rozdaniu związkowych buław na długo przed Zjazdem”. Po pierwsze — Kolega dobrze zna realizm wyborów tzw. „większością głosów” lub nawet wyboru jedynomyślnego. Bokiem wyszło nam w tym kraju wieloletnie mistrzostwo w takich wyborach. Po drugie — Kolega dobrze wie, że chcąc udowodnić całą reżyserię ostatniego Zjazdu ZLP, musiałbym wręcz nieprzyzwoicie uchylić publicznie kurtyny związkowej, nie tyle w sprawie wyboru władz ZG, co wyboru delegatów na Zjazd, bo przecież obydwaj dobrze wiemy, że tu leży sedno sprawy.

„Chciałem wreszcie ustosunkować się do pewnych niezręcznych, tendencyjnych albo wręcz mijających się z prawdą sformułowań z artykułu Henryka Pajęka, ale aby nie przedłużać sporu, ograniczę się jedynie do tytułu:

Drogi Kolego związkowy!

MIO mi, że na wstępie swojej wypowiedzi polemizującej z moją oceną Zjazdu ZLP wymienia Kolega swój osobisty trud w pracach Zarządu Oddziału ZLP w Lublinie w ostatnich dwóch kadencjach — trud Kolegi dodaje bowiem splendoru mojej skromnej pracy w tymże oddziale w ostatnich sześciu latach.

Ale z faktu siedzenia przy jednym stole, w tym również stole zjazdowym, nie wynika, na szczęście, przywilej jednakowego widzenia wszystkiego, co przy owym stole się dzieje. W tym kontekście zupełnie oczywistą byłaby inna, czy nawet różna ocena tego ważnego wydarzenia, jakim był Zjazd Literatów, zwłaszcza ostatni, w którym zogniskowały się wszystkie problemy literatury, demokracji i polityki. Tej ostatniej jednak Kolega nie

TEMAT: HISTORIA

Bohdan Królikowski

MÓWIONO na Zjeździe ZLP wiele o współczesności, o wczorajszym i dzisiejszym dniu naszej Ojczyzny. I bardzo dobrze. Pisarz musi żyć problemami swojego czasu, cierpieć i radować się jak inni. Ale zadania pisarzy są rozliczne. Mają oni nie tylko być sumieniem narodu, nie tylko utrwalać teraźniejszość dla przyszłości, nie tylko troszczyć się o język narodowy, o czym tak pięknie mówiła Joanna Kulmowa.

Pisarz musi też patrzeć w przeszłość i z niej czerpać. Artur Górski napisał kiedyś, że „dzieje są na to, by się wychowywał człowiek”. Inny wielki myśliciel powiedział, że być Polakiem znaczy to także odczuwać łączność z tymi, co Polakami byli przed nami...

Uczyć historii. To zadanie szkoły. Inna sprawa, że wykonywane ostatnio w sposób żalony. Ale uczyć historii, pokazywać przeszłość, możemy i musimy także i my, pisarze. Różnie traktowano to zadanie w okresie minionego trzydziestolecia. Pozostawiano odłogiem całe obszary naszej przeszłości. Z innych okresów wybierano fragmenty, wycinki, wstydliwie zakrywając, a nawet fałszując szereg wydarzeń i postaci, gloryfikując i lakierując inne.

Wiemy, że było to i jest, niestety, wynikiem określonych tendencji i działań, określonych nacisków i interwencji mających na uwadze interes — bynajmniej nie nasz.

Nie ma tu miejsca na przykłady z odległych epok, dotyczące dawno minionych okresów naszej historii. A

szkoda, bo wiele można by mówić o tym, jakich słów i określeń nie wolno nam używać, gdy piszemy o wieku XVII, czego należy unikać, gdy zajmujemy się wiekiem XVIII, a co skrętnie omijać, gdy wjeżdżamy w okres powstań narodowych i walk o niepodległość.

Zatrzymajmy się na historii najnowszej, na latach 1939—1945. Polska krew ma jednakową wartość bez względu na to, czy przelano ją we wrześniu czy w maju, pod Lenino czy Monte Cassino. Tak samo plamila battledress jak i drellehy kościuszkowców, żołnierzy Armii Krajowej i innych ugrupowań ruchu oporu.

To są prawdy oczywiste. A przecież nie wszystkim walcącym, cierpiącym i poległym oddano sprawiedliwość. Były lata, gdy wyszydzano wrześniowego żołnierza, gdy w opinii społecznej głęboko wyrzuto bzdurny slogan o ulaskach szarżach na czołgi. Tak głęboko, że tkwi on do dziś w świadomości całych pokoleń. Zbigniewa Załuskiego czytają przecież wybrani — „Łołą” w telewizji oglądają wszyscy. A potem się śmieją. Z kogo? Przypomnijmy go-

golowskiego „Rewizora”: „Z siebie się śmieciecie!”

Po co to mówię? Wyważam przecież drzwi, zdawałoby się, dawno otwarte. To pozór. Te drzwi zaledwie wstydliwie uchylono. Apeluję do Kolegów by jak najpełniej przekazywali prawdę o wspaniałym trudzie żołnierza polskiego Września. By podjęli wysiłek przewartościowania społecznej świadomości oczywistych faktów, że walczyliśmy z najeźdźcą nie tylko pod Lenino, Kołobrzegiem i Berlinem, a w kraju nie tylko w szeregach GL. Ktoś by tu pewnie przytoczył — polemizując ze mną — długi szereg tytułów książek o Wrześniu, o PSZ na Zachodzie (o wiele krótszy), o Armii Krajowej i Powstaniu Warszawskim. Zgoda. Takie książki są. Lecz jest ich wciąż zbyt mało, nie są pełne, wydawane zbyt rzadko, w zbyt niskich nakładach, niemal nigdy nie filmowane (z wyjątkami...), nie przerabiane na rzetelne serie telewizyjne.

Wszyscy oglądaliśmy wyświetlany wielokrotnie tajemnicowy serial o ceterich pancernych. No cóż, można się z tego pośmiać, czasem wzruszyć. Ale gdyby tak — dla przykładu — w po-

Do XXI Zjazdu, do nowo wybranego Zarządu Głównego, czy do Centralnego Związku Literatów Polskich? U tego Związku literatów przypadek jest ważny, że w każdym przypadku jest ono co najmniej niesłowne. Swoje stanowisko wobec Zjazdu już chyba dostatecznie wyjaśniłem, o moim stosunku do Związku świadczy dobrowolnie przynależność do tej organizacji, na przynależność do tej organizacji. Nawiasem mówiąc, gdyby traktować ZLP jak „cudowną melinę”, to powinni skupiać w swoich szeregach albo milion, albo zaledwie kilkanaście osób. Na szczęście tak nie jest.

Jeszcze pozostaje sprawa nowo wybranego Zarządu Głównego ZLP. Ciąbrano to nie jest jakimś anonimowym melem. Składa się z 32 najczęściej najsławniejszych nie tylko członków, ale i szerszego grona czytelników ZLP, ale i szerszego grona czytelników ZLP, ale i szerszego grona czytelników ZLP. W tajnym głosowaniu zostało wybranych ze znacznie dłuższej listy kandydatów. Czy można mieć do tego grona zaufanie? Oto pełna lista nazwisk: Jan Józef Szczepański — prezes, A. Braun, T. Drewnowski, L. Prorok, J. Sito — wiceprezesi, Z. Kubicki — sekretarz generalny, A. Jarecki — skarbnik, K. Dziewanowski — z-ca skarbnika, M. Nowakowski — z-ca skarbnika, A. Trzeciakowski — przewodniczący komisji kwalifikacyjnej, M. Gejeżek — przewodniczący komisji zagranicznej oraz członkowie Zarządu — E. Balcerzan, L. Bądkowski, J. Bocheński, M. Brandys, T. Burek, J. Błonski, L. Elektrowicz, J. Hartwig, P. Hertz, I. Jurszewska, A. Kamińska, S. Kisielewski, U. Kozioł, J. Łukasiewicz, S. Misakowski, E. Naganowski, T. Nowak, K. Orłowski, J. Pieszczykiewicz, W. Terlecki, J. Woźniakowski.

Osobiście większości z wymienionych tu osób ufam. Jestem pewien, że nie poddadzą się żadnym naciskom grup nieformalnych ani nie zwiodą ich demagogiczne hasła polityków. Dobro Związku i prawidłowy rozwój życia literackiego kraju będzie główną troską ich działalności.

„Cudowna melina”. Niestety, nie znam jej treści i nie wiem, co przez ten tytuł w sensie metaforycznym można rozumieć. O toż skoro Kolega nawet nie słyszał o książce, jej tytule i autorze, głównym w podskórnym krwioobieg literatury lat ostatnich, to ustawia się w roli Piętaszka na bezludnej wyspie, co jednak nie przeszkadza Koledze stwierdzić pryncypialnie już w następnym zdaniu: „Nie ulega jednak wątpliwości...” Ale metaforyczność tytułu mojego artykułu to tylko przyczynek do rozumienia metafor.

Znaczenie smutniejszej refleksji dostarcza mi jednak sprawa „niezręcznych, tendencyjnych albo wręcz mijających się z prawdą sformułowań...” Kolega „chciał” się do nich ustosunkować, ale wspaniałomyślnie „ograniczył się” i darował mi egzemplifikację tych podłości. A szkoda. Kolega Józefie — mijacie się z prawdą w bardzo paskudny sposób stawiając tak, ciężkie zarzuty bez dowodu. Nie mogło być inaczej. Idzie tu o same inwektywy w jedną stronę i o ukłony w drugą. Idzie po prostu o szkolne lizusostwo. Oczywiście w trosce o czytelników, o dobro sprawy. Skąd my to znamy? W każdym razie nie tylko z pierwszych klas szkoły podstawowej.

Henryk Pajak

dobny sposób (tylko bez westernowej manieri) spróbowano spopularyzować losy także czterech pancernych, ale od Maczka? Nie trzeba by tu fantastycznych pomysłów pana Przymanowskiego. Wystarczyłyby fakty. Fakty, które byłby chyba nie gorzej (co najmniej) lekcja historii niż tamten komiks historyczny.

Przykłady można by mnożyć. Weźmy całe serie filmów o maju 1945 roku, choćby te Passendorfera, z Siemionem. Wszyscy oglądamy je z przyjemnością. Ale — zapyta może niejedyn — czy na takie filmy nie zasłużyli żołnierze spod Monte Cassino, lotnicy znad Wielkiej Brytanii, marynarze polskich jednostek, a nade wszystko uczestnicy wrześniowych (choć pozornie przegranych) bitew? Ktoś powie, że takie filmy są. Zgoda, tylko ile? Powtarzam: krew polska ma jednakową wartość. A tym co ją przelewali, trzeba oddać jednakową sprawiedliwość. Także i w twórczości literackiej. Ościs w dyskusji na XXI Zjeździe Literatów Polskich Autor zrezygnował z wyprowadzenia go na Zjeździe z uwagi na wielkość przyznanych, późna pora — jego L. malejące grono słuchaczy.

MNIE też wydaje się, że weale nie jesteś ciężko chory. Nawet jak patrzę na twoją twarz, także nie widzę zmiany, zdrową masz twarz. — Jezeli tak jest, jak jest — mówię do niej — albo może jezeli tak jest, jak mówisz, to Kry-Kry-sio, przysuń się jeszcze bliżej mnie, przecież nie zaraz cię. — Twoja choroba nie jest zaradliwa — i przysuwa się bliżej moich rąk, moich pierś, mojej głowy.

— Teraz fajnie. Wydaje mi się, jakbyśmy razem leżeli. — Tobie się tak wydaje? — A tobie nie? To przysuń się jeszcze bliżej. — Daj spokój, siostra przyjdzie i co sobie pomyśli, facet dopiero po operacji... — Siostra? Kry, ta siostra przysuwa się bliżej nie tylko do swego męża.

Biorę rękę żony i głaszczę: las, las, no, już oswojona, dobra ręka, teraz lekko odchyłam swój kocyk i pociągam pod kocyk rękę żony, i kładę ją na swoich piersiach. Ręka tam leży, leży, a ja znów głaszczę ją, obglaskuję, na stałe jakby chcę ją mieć, tak się wydaje. Z kolei trzeba by jakoś oswojać dalsze moje miejsce, a z tym również nasze zgodne (tylko na tak) pomyslenia.

Na razie ręka żony trzyma się jeszcze moich pierś dalej, bo żeby mogła się przesunąć niżej, do brzucha gdzieś już, musi być jakieś powiedzenie jej dane, jakby zezwolenie, na to, żeby się tam mogła przedostać.

— Pomocaj mi brzuch, poczujesz same owinięcia, skrępowania. — A ta rurka wystająca — mówi, dziwi się.

— Rurka jest potrzebna. — Do czego potrzebna? — Żeby nie nastąpiło zakazanie. Dąbrowskiego, jak był u mnie, pytałem o tę rurkę i on tak odpowiedział.

— Ja też z nim rozmawiałam, ale mnie nie mówił o rurce. — A o czym mówił? — Że ten wycinek twojego żołądka dali do badania. — Coś podejrzewają? — Badają, żeby wiedzieć. — Mogł być rak, mówił ci o tym?

— Lekarze nie zajmują się przypuszczeniami, oni po prostu badają.

I już te medyczne rozmowy zmieniają nasze zachowanie. Przed chwilą dotyk mojej żony odczuwałem jako przysuwanie się do czegoś miłego, jak do ogniska, kiedy się zmarznie, jak do światła, kiedy w ciemności nie chce się być, natomiast po rozmowie medycznej... jest jeszcze dalej dotyk, jeszcze rękę żony czuję na swojej pierś, ale czy to dotyka żona, czy siostra szpitalna, czy lekarz... sam dotyk już tylko czuję, to jedno, i w tym jednym miejscu.

— Zostawmy te szpitalne rozmowy, bo mam już tego dosyć — mówię. Żona zabiera rękę z moich pierś, bierze łopatkę z gazą, wkłada ją do wody i zwilża mi usta.

— Chętnie bym się napił, och, jak bym się napił, chyba bym wypili...

— A później byś miał z tego pogrzeb — powiada.

Patrząc na nią zdziwiony, dlaczego mówi o pogrzebie, przecież ostateczność wybiera sam człowiek, świadomie lub nieświadomie, ale sam, więc ja mogę wybrać ostateczność.

Przyrzekałem jednak, że zgodność moja zawsze musi być z żoną, dlatego zupełnie bezradnie wpatruję się w swoją żonę i nie chcę niczem zaprzeczać, nie chcę mieć jej powiedzenia postawionego przeciwko sobie, chcę natomiast, właśnie, naturalnie, zgodności.

— Masz rację — mówię więc w tym jednym kierunku, jak trzeba,

jak należy, jak powinno być pomiędzy jednym małżonkiem a drugim człowiekiem. Jednak rozszły się moje myśli daleko od powiedzenia, potwierały swój jakże inny w biegu kierunek, przeciwny temu, co wypowiedziałem. I niosą mnie dalej myśli moje, przypominają, odsuwają jeden rok, drugi, trzeci, czwarty, chyba tyle, bo przy piątym roku wyróżnia już pamięć — oto grudzień, oto bal sylwestrowy, a oto i my oboje, oto twój brat z bratową, i jeszcze przy naszym stoliku siedziła trzecia para, ale zaciemniona teraz już i niewyraźna, i w jedno kółko bawimy się, w drugie, w trzecie, i jak przy tym muzykanci nam grają, tak my za nimi tańczymy, tańczymy, i jak nam wystawili do wypicia i zjedzenia, to my jemy i dojadamy, ale jednak ponad jedzenie pić wywyższamy, pijemy, pijemy, bo chcemy ten widok ze stolika szybko przepić, żeby na to miejsce postawić następne butelki, ponieważ my, mężczyźni, trzymamy każdy na własnej pierś własną piersiówkę potrzebną, jak wiadomo, do dokładki na przywitanie Nowego Roku. My jeszcze w starym roku wyciągamy te butelki i na stół je dajemy, ale śpieszymy się, bo już już, już Nowy Rok za pasem, jak to się mówi, i mówimy: zbliża się dwunasta, i w tym zbliżeniu do siebie dwunastej my się także zbliżamy do siebie, inni się zbliżają i — w tym momencie — jak wskazówki na zegarze złączają się, my, oni i wszyscy na sali złączają się ze sobą i się ca-

stoją po taksówkę. Pamiętam, że taksówką przyjechał szybko, mać, mówi, wsiadajcie, jedźcie i popycha kogo trzeba dalej, do środka wozu, na siedzenie. Ulica Budyńska, mówię do kierowcy, siedzę na tylnym siedzeniu, żonę trzymam przy sobie, pytam, rozmawiam z nią, mówię do niej, ty odpowiadaj mi co chcesz, byle co, to ci w rozmowie przejdzie może szybciej, i obracam żonę koło siebie nawet dosyć ostro, jakbym potrząsnął kimś, kto ciągle nie chce się zbudzić, a musiał uczynić natchem, bez odkładania na potem. Kierowca ciągle jedzie, jedzie, jesteśmy już w pobliżu Budyńskiej, a noc pięknie otwarta na cały widok, widzę wszystko dokoła — a biel śnieżna jeszcze to powiększa, a latarnie także rozjaśniają blaskiem, więc i w taksówce jak w dzień, dokładnie widzę, jak oczy Krystyny obrócone gdzieś poza mnie, jak u topieleca, i głowa nie trzyma się już w żywym poruszaniu, gdzie taksówka sobą potraźnia, tam głowa Krystyny chwile się i opada. Na razie jeszcze podcieszam sam siebie, że może jej przejdzie, ale i coraz więcej boję się o nią, bo nie jestem przekonany, czy tylko po samym przepiciu może się człowiek tak nieruchomo zachowywać, czy może jednak choroba jakaś jest w niej, a przepicie tylko pomaga chorobie.

Wtedy miałem jeszcze dla żony dużo serca, jak to się mówi, więc postąpiłem... zaraz o tym powiem,

A mogła to być zbrodnia doskonała

Adolf Momot

hują, i my się całujemy, oczywiście, najżywiej, i dobrze się podcieszamy, i mówimy sobie, co komu tylko do głowy przychodzi (a ileż dobroci przychodzi po takiej wódecce), więc mówimy zdrowie, mówimy pieniądze, mówimy (chyba z bezradności już zupełnej): wszystkiego najlepszego, czego sobie tylko zapragniesz, i pijemy dla odmiany szampan na ten temat, ale zaraz przebijemy go piersiówką moją, twoją, jego. I znówu następny taniec się otwiera, proszę cię, mówię do żony, chodź, nowy jakiś kawalek grają w Nowy Rok, zatańczymy go po nowemu, bo po nowemu zaczynamy żyć, mówię, starsi jesteśmy już, mądrzejsi, i może nie będziemy się tak ze sobą gryść, jak gryźliśmy się do tej pory, mówię do niej i ja biorę do okrzyku w tłum, w sam środek ludzi, a ona mi, jak to się mówi, leci z rak źle się czuje, mówi, do domu zabierz mnie, jedźmy, mówię, Zostawiamy tłum i wracamy do stolika śmiać i siadamy, ale Krystyna i tam leci. Józio byli przy stoliku, do tancerz jakos nie poszli więc pomagają Krystynie i podtrzymują ją, żeby siedziała prosto, i mówią mi do ucha: za bardzo się spiliła, musisz ją zawieźć do domu, połóż, zresztą wszyscyśmy byli zgodni, że nie ma co dalej siedzieć na zabawie, jak zabawa nam wyraźnie przeszkadza, no, macie rację, mówię, będzie lepiej, jak ją położymy, położę i niech się otrzeźwi, i idę do szatni biorę jej palto, moje palto, sam zakładam swoje, jej jej ubieram i pod rękę biorę żonę, prowadzę, ciągnę ją prawie na siłę na dwór. Jesteśmy już na dworze, idziemy ulicą, ale widzę, że Józio, dobry towarzysz był, też wszedł za nami i jak my już chcemy iść dalej to on mówi, nie, zatrzymajcie się tu i zaczekajcie, a ja skoczę na po-

jak. Ale gdyby to wydarzenie miało miejsce później już, no, przedrokiem choćby, to ja bym ją pewnie zawiózł do domu i jeszcze bym kierownicę w to wmięszal, powiedziałbym do niego, baba mi się spiliła, niech pan pomoże, do mieszkania ją zaniesieni połóż, a gdyby się ociągał i mrucał z niechęcią, powiedziałbym mu, zapłacę panu podwójnie, potrójnie dam nawet panu w Nowy Rok, niech się szczęści, i zaniesilibyśmy moją żonę, do łóżka położyli, ja bym przy niej był, kierowca już by pojechał sobie następnym ludzi zabierać, więc ja sam już ułożyłbym żonę ładnie na wznak, normalnie, jak każdy nieboszczyk leży, popatrzyłbym jeszcze na nią dłuższy czas może nawet, ot, pomyślałbym, żyłaś, żyłaś, gryzłaś się ze mną, gryzłaś, robiłaś fochy, robiłaś, a teraz już taka spokojna, nie oddychasz nic, nie ruszasz się nic, i nie żyjesz, widzisz, jaki to człowiek czasem głupi jest w życiu, ale, powiedziałbym, za późno już na odwrot, z głupota trzeba umierać tak samo nieodwołalnie, jak i z mądrością, wszystko swoje musi człowiek stąd zabierać, tylko że ty, powiedziałbym, masz przy mnie więcej szczęścia w umieraniu, bo pięknie umierasz, nawet ono, to twoje umieranie weale nie pasuje do twojego życia, ale, na koniec miej chociaż ode mnie taki prezent, daję ci go, masz, masz dobrą, wygodną i lekką śmierć. I zostawiłbym ją dla samej siebie. Niechby to już była moja zbrodnia doskonała. Tak mogło być, jak mówię, a jak było?

(Fragment powieści „Zabieg”, która ukaże się w „Pojezierzu”)

Komeno str. 7

Nadzieja i niepokoje

Ciąg dalszy ze str. 1

szym przykazaniem. Chcę ją widzieć także w tej osobliwej postaci naszego narodu, że tak często upadał, a jednak się podnosił; dźwigał się — jakby na przekór swoim słabościom — i odradzał jak Feniks z popiołów — nawet z najgłębszych upadków. Z tych dramatycznych zakrętów historii rosła — w sposób niewidoczny i wprost niewytłumaczalny — siła jego przetrwania.

Nadzieję dostrzegam w naszej młodzieży (widząc jednocześnie jej siłę i słabość), która tak różnie się osadza. A jednak — *contra spem spero* — w książce wspomnieniowej „Lata walki i nadziei”, napisanej z początku 1969 r., a wydanej przez Wydawnictwo Literackie w 1973 r., we wstępnym słowie tak m.in. pisałem: „Duch walki i wiara w zwycięstwo dobrej sprawy są towarzyszącymi młodzieży; zamknięcie się aż po kres w zaciętości kręgu dnia wczorajszego i niewiara w nowy kształt życia — oto znamiona starości i zapowiedź zbliżającej się śmierci... Zważenie może udzielić się tylko tym, którzy docierając do krawędzi własnego życia, niepomni są, że wietanie zaczyna się ono na nowo. Stare nadzieje odżyją w sercach tych, co jutro mają się urodzić”. Przeczytałem ten fragment, bo nadal wierzę w odrodzenie mojej młodzieży. Nieurojona jest też nadzieja, że młode generacje lepiej potrafią opanować sztukę życia godziwego. Przez wieki inne narody nie rozumiały nas, podziwiając (niby) jedynie nasze opanowanie sztuki umierania. Tymczasem wielkie księgi i gorzkie rozczarowania uczy młodych sztuki życia — jego racjonalnego organizowania i przeżywania.

Uważam, że są realne szanse moralnego odrodzenia narodu (nie ludzmy się, że może to nastąpić z dnia na dzień) oraz że wszystkie zdrowe siły narodu nie dadzą się ogarnąć płomieniem nieoklepanych emocji i ślepych żądzą odwetu. Słuszny był i nieunikniony bunt robotników przeciw konkretnemu systemowi rządzenia, który sprzeniewierzył się głośnym zasadom sprawiedliwości społecznej i demokratycznych metod rządzenia. Ale błędy innych nie mogą być inspiracją do popełniania nowych błędów przez nas samych. Uznając wielką rolę Kościoła w salwowaniu interesu narodowego i znając jego wpływ na szerokie kręgi społeczne, żywię również nadzieję, że te możliwości pozytywnego oddziaływania zostaną wykorzystane dla dobra społecznego, choćby przez przypomnienie, że żądza odwetu nie dobra przysporzy, a może i tej dewizy: *Któż z was jest bez jakiejś tam, cnochy drobnej winy, winy w procesie deprawacji życia społecznego...*

Widzę także realne szanse odrodzenia partii klasy robotniczej przez pozbycie się karierowiczów i ludzi zdemoralizowanych; zerwać trzeba z niedorzeczną pogonią za łowieniem martwych lub sprzedanych dusz. Nie zawsze ci, którzy w czambuł gromią organizację setek i tysięcy ludzi, mają do tego moralną legitymację ludzi czystych rąk i serca — ludzi dobrej woli.

Tyle o nadziejach — o tych najbardziej potrzebnych w podjętym dziele naprawy życia publicznego. Ale nadzieje chodzą tymi samymi drogami co i niepokoje o ich spełnienie się. Im więcej kracie nadzieje, tym groźniejsze niepokoje. Z drugiej zaś strony — nawet tym najgroźniejszymi niepokojom towarzyszą nikt niechcący niebezpieczeństwa. Nadzieja jest mocą serca, przeczucie zaś niepokoju powinny być wnikliwe, trzeźwe i odważnie rozpoznawane, by móc uruchomić siły zdolne im zapobiec. J. J. Rousseau, prezentując Polakom w 1772 r. swoje „Uwagi nad rządem Polski”, zastrzegł się, że serce jego więcej tam powiadało niż rozum. I tak to naprawdę było. Dzisiaj, w naszej dramatycznej sytuacji, trzeba sięgnąć po rozum, by to, co nas w tej chwili niepokoi, jutro nie stało się nieszczęściem i nie pozostawiło nieodwracalnie naszych nadziei.

A teraz pozostaje pomówić o tym, co nas najwięcej niepokoić powinno.

Największy niepokój budzić muszą rozpowszechniające się tendencje do anarchii i podważania podstaw oraz elementarnych zasad życia państwowego. Największy, bo to głęboko zakorzeniona przywara w naszym charakterze narodowym i najwięcej szkód wyrządziła w przeszłości. Największy, bo gdzie rozpada się struktura państwowa, tam wiotczeje i zanika więź społeczna, a społeczeństwo zamienia się w tłum opętany szaleńcem niczym niepojętym swawoli. Dostrzegam to już u progu naszej cywilizacji w swej „Poiteia” Platon, sprowadzając teoretyczne możliwości formy rządu do pięciu modeli: arystokracja (panowanie ludzi intelektu); timokracja (panowanie czynnika wojkowego); demokracja (panowanie ludu); czwarta — to powstała z nadmiaru demokracji anarchia (ta właściwie już ex definitione nie zasługuje na miano ustroju jako synonim bezładu), zaś anarchia nieuchronnie prowadzi do piątej formy — do tyranii jako jedynie skutecznego antidotum przeciw zniszczeniu życia społecznego. Nieodrodnym było takie mniemanie, bo i Arystoteles, wysoko ceniący demokrację, widział jej kres w odrzuceniu postępu prawa („prawo jest niezbędne, by okiełznać zło, cychające we wnętrzu człowieka”) i w ogólnym rozprężeniu, co z kolei rodzi właśnie tyranie.

Powtarzam: my Polacy szczególnie jesteśmy dotknięci tą złowrobną skłonnością. Anarchiczne instytucje polityczne w Polsce przedrozbiorowej (konfederacja, rokosz, elekcja viriūm, liberum veto) — oto pierwotne załączki upadku Rzeczypospolitej i niewoli politycznej.

Odnawa życia publicznego w naszym kraju nie może się obejść bez respektowania nauk płacących z gorzkich doświadczeń przeszłości: obniżenie dyscypliny społecznej, występujące ostatnio w naszym kraju w niepokojących rozmiarach, można do pewnego stopnia zrozumieć (zrozumieć to nie znaczy — usprawiedliwić) i nie można go przypisywać jedynie zachciankom swawoli; wszak owa swawola jest w pewnym stopniu reakcją na znane deformacje życia publicznego i znajduje upust w drastycznych wystąpieniach, błędnie pomyślanych jako lek na dotychczasowe schorzenia („gwałt niech się gwałtem odbija”). Należy stanowczo odżegnać się od wyznawców kultu siły w rządzeniu państwem, zwłaszcza gdy głosi się zasady demokracji i humanizmu. Ale nie można wyrzec się państwa jako podstawowej siły narodu, zabezpieczającej jego postępowy rozwój, jego niepodległość i suwerenność. Nie można też podkopywać autorytetu prawa jako fundamentalnej rękoi mi ładu społecznego; w sporach i konfliktach społecznych reagowanie złem na zło nie przyczynia się do osiągnięcia dobra społecznego.

Niepokój, jaki budzą przejawy anarchii, wiąże się bezpośrednio z niepokojem, jaki wywołują coraz nagminniej występujące wypadki neglizowania i drastycznego naruszenia prawa. Rzeczników odnowy nie może w żadnym wypadku usprawiedliwiać fakt rażącego naruszenia prawa przez uprzednich dzierżycieli władzy państwowej. Potępienie stanowcze tamtych nie może służyć jako dyspensa od przestrzegania nakazu praworządności dla potępiających; wszak potępiają w imię dobra publicznego i w imię naprawy Rzeczypospolitej. W przeciwnym wypadku będzie miał rację postronny obserwator, gdy powie: zamienił strytek siekierkę na kijek; kij a siekiera to tylko różnica stopnia skuteczności, jedno i drugie jest symbolem gwałtu. Tak już jest, że za wszelkie zło i za każdy błąd trzeba — wcześniej czy później — zapłacić i nie zawsze płacą za to tylko czyniący zło. Prawo jest narzędziem w ręku państwa dla zabezpieczenia dobra społecznego i urzeczywistnienia wartości moralno-społecznych, adekwatnych do osiągniętego stopnia rozwoju danej cywilizacji.

Żaden ustrój społeczno-polityczny, bez względu na rodzaj jego motywacji ideologicznej, nie może obejść się bez ładu i porządku. Właściwości rozwoju cywilizacji ludzkiej wyłożyły w świadomości jednostek i społeczeństw nawyk przestrzegania prawa, a to z racji uznania nieodzowności zachowania więzi społecznej najwyższego rzędu. Konieczne jest jednak przy tym związanie autorytetu prawodawczego — w ustrojach demokratycznych jest nim najwyższy organ przedstawicielski narodu — obowiązkiem respektowania, w zakresie ustalenia treści prawa, aktualnej świadomości moralnej i prawnej danego społeczeństwa. Budzić się więc muszą uzasadnione obawy, że zanarichowanie społeczeństwa (idące z reguły w parze z jego demoralizacją) zagrozić może poważnie wielkiemu dziełu odnowy społecznej i państwowej.

Realizacja postulatów poszanowania prawa znajdzie najpomyślniejsze szanse w ustroju opartym na demokratycznych metodach sprawowania władzy. To chyba jasne i wszyscy łączą te dwa pojęcia w logicznej jedności, ale niepokoje może uproszczone i opaczne rozumienie zasady demokratycznej jako fundamentu życia społecznego; jakże często chce się widzieć w niej jedynie proste powiązanie mechanicznego egalitaryzmu z nieznającą szranków wolnością jednostki. Tylko niski poziom kultury politycznej może być źródłem takiego pojmowania ludowladztwa (tj. demokracji). Granicą wolności powinno być zawsze bezwzględne respektowanie wolności innych członków społeczeństwa i pełne poczucie odpowiedzialności za realizację dobra powszechnego. Zasada zaś równości powinna w systemach demokratycznych w ostatecznym rachunku pełnić rolę służebną jako środek uzyskania i zagwarantowania jednostce — spletej więzami społecznymi — pewnej obiektywnie dopuszczalnej sfery wolności.

Zatem idea równości jako świadomie przyjęta zasada regulowania stosunków międzyludzkich — teoretycznie rzecz biorąc — może również dobrze wiązać się z systemami demokratycznymi jak i totalitarnymi. W państwie despotycznym np. wszyscy poddani równani są w poniżeniu i zdani na łaskę arbitralnej władzy. Wszak podporządkowanie się zasadzie równości może być aktem rozsądnego kompromisu naszych osobistych aspiracji i pędu naszej indywidualności do nadania sobie właściwej zewnętrzności (przecież nasze „ja” wyraża się w odrębności i inności) ze społeczną koniecznością uznania w praktyce cudzych ambicji i cudzej indywidualności.

Obawiam się więc mechanicznego pojmowania demokracji jako prostego amalgamatu egalitaryzmu i liberalizmu, bo to przecież byłaby niedorzeczna i niebezpieczna mieszanka. Demokracja — to przede wszystkim w praktyce systematyczna i rzetelna kontrola społeczna wobec ludzi z aparatu państwowego, rzeczowa dyskusja i głębokie poczucie odpowiedzialności obywatelskiej. Jeśli więc podejrzewasz innych o zamach na demokrację, przyjrzyj się najpierw samemu sobie i swoim kwalifikacjom na członka społeczności demokratycznej; szczerze poddaj analizie swoje skłonności, namietności i obywatelskie postawy. Obawiam się, że deklarujący się za demokracją nie kwapią się do zrobienia własnego rachunku sumienia obywatelskiego.

I jeszcze jedna obawa, wyrażona z racji uprawianej przeze mnie profesji prawnika i pedagoga. Niepokoi nie docenianie roli prawa i jego poszanowania, ale niepokoić też powinna skłonność do przeceniania roli przepisów prawnych w procesie edukacji społecznej i w naprawie Rzeczypospolitej. Skłonności tego rodzaju wiążą się ze szczególnym fideizmem prawniczym, z wiarą w magiczną moc prawa w oderwaniu od realiów społecznych, od stanu moralności społecznej. Tuż po październiku 1956 r. pisałem w „Prawie i Życiu” (nr. z 19.V.1957) w artykule na temat zmian w konstytucji, co następuje: „Walka o nowe, doskonalsze i godniejsze człowieka reguły życia publicznego w Polsce Ludowej nie może ograniczyć się do zmian konstytucyjnych czy ustawowych. Nie wystarczy „zakotwiczyć” pewne instytucje w Ustawie zasadniczej, trzeba je utwierdzić w sercach i świadomości obywateli... Tymczasem jakże trudno utrwalić w umysłach uznanie prawdy, że stosunkowo łatwo przestawiać ludzi i nawet reformować instytucje, o wiele zaś trudniej zmienić samego siebie i ukształtowany w przeszłości charakter stosunków międzyludzkich. Spoglądamy na przeszłość krytycznie, ale spoglądamy tak, jak nauczyła nas tego przeszłość; osadzamy też przeszłość według miar, jakie określiła konwencja dnia wczorajszego. Kiedy więc zmieniamy sytuację, pamiętajmy, że przeszłość czyha na te poczynania w nas samych”.

Dodam, że tego rodzaju fideizm prawniczy święcił swoje triumfy szczególnie w ubiegłym dziesięcioleciu, ale i dzisiaj prosperuje niezgorzej, kiedy to skrzętni kauzyperdy mają pełne ręce roboty przy redagowaniu umów społecznych, projektów ustaw i innych aktów prawnych niższego rzędu. Łatwo uchwała się nowe i łatwo zmienia się je bez dostatecznej ku temu podstawy. Wystarczy przypomnieć radosną twórczość legislacyjną odnośnie kontroli państwowej w Polsce Ludowej; gdzieś, indziej setki lat działają wypróbowane urządzenia, u nas w ciągu 36 lat sześciokrotnie reformowano system kontroli.

Dokończenie ze str. 1

Pojęcie demokracji formalnej było u nas odnośne do demokracji burżuazyjnej. Anomalia naszego rozwoju polegała na tym, że owa „demokracja formalna” nie była przekształcana w demokrację rzeczywistą, ale — przeciwnie — była w ogóle ograniczana; ograniczono udział ludzi w życiu obywatelskim i politycznym; doprowadziło to do rozkładu odpowiedzialności społecznej. Samo pojęcie demokracji uległo deformacji. Rzecz w tym, że w warunkach braku demokracji staje się owa demokracja wartością w sobie (wartością moralną), gdy w normalnych warunkach, kiedy demokracja stanowi fakt codziennego życia, jest ona środkiem, wartością instrumentalną, sprawdzianem przez efekty ekonomiczne, kulturowe, przez godziwe stosunki międzyludzkie. Brak demokracji uczynił z niej wartość w sobie; teraz o przywrócenie tej wartości społeczeństwo walczy. Jest rzeczą niezwykle doniosłą, aby jak najszybciej przywracać demokracji wartość instrumentalną, to znaczy sprawdzać ją i potwierdzać przez lepsze efekty we wszystkich dziedzinach życia społecznego.

I trzecia sprawa, bez rozwiązania której dwie poprzednie biorą w łeb. Jest to taka organizacja pracy, która zapewniałaby godziwy poziom zaspokajania podstawowych potrzeb ludzkich. Tak już jest, że kiedy rozwój gospodarczy staje się widoczny, ludzie mniejszą wagę przywiązują do sprawiedliwości społecznej. Kiedy natomiast rozwój ulega zahamowaniu, uwaga społeczna kieruje się bardziej ku sprawiedliwości, ku sprawiedliwemu podziałowi. Mamy tego wyraźne przykłady w kraju. W takiej sytuacji bardzo często cała energia władzy i społeczeństwa skupia się na dzieleniu, nie zaś na wytwarzaniu. Dochodzi — jak obecnie u nas — do wzajemnego obarczania się winą za powstałą sytuację. Społeczeństwo mówi: „Mało wytwarzamy, bo zła organizacja pracy”. Władza zaś: „Mało się wytwarza, bo ludzie źle pracują”. Taki ping-pong. Racje leżą po obu stronach.

Tak widzę te trzy warunki i trzy elementy socjalizmu.

W. P.: — Czy wobec tego mamy w Polsce socjalizm?

Z.C.: — Nie można na to pytanie odpowiedzieć pozytywnie bez zasadniczych zastrzeżeń. Istotne i realne elementy socjalizmu to: uspołecznienie podstawowych środków produkcji, które stanowi niezbyszalną przesłankę społecznego władania tymi środkami; siła społecznej żądania sprawiedliwości, wolności obywatelskich; program budowy socjalizmu, który — mimo wypaczeń — jest samozobowiązaniem Partii na rzecz socjalistycznego przeobrażenia kraju (program ten działał i działa wychowawczo na członków Partii i na społeczeństwo). Ale jednocześnie tak wiele czynników działało i działa przeciwko realizacji programu socjalizmu. Dzisiaj konieczny jest ogromny wysiłek skierowany przeciw działaniom i tendencjom naruszającym zasady społecznej sprawiedliwości. Będą one jeszcze nie raz wystawione na ciężkie próby. Przewyciężanie choćby dotkliwych trudności rynkowych będzie się najprawdopodobniej odbywać kosztem i wbrew egalitarnym tendencjom, tak wyraźnie dzisiaj w naszym społeczeństwie widocznym.

W.P.: — Szczególnie boleśnie odczuwaliśmy wszyscy wypaczenie zasady ludowladztwa. W ostatecznym rachunku doszło do zdeprawowania władzy i — również — moralnej dewastacji społeczeństwa. Jakiej jest źródła tych wypaczeń?

Z.C.: — Zastanawiałem się nad tym problemem w skali całego naszego wojennego trzydziestoparolecia i jeden z wątków myślowych był taki...

Niewątpliwie dokonały się w Polsce po II wojnie rzeczy — bez przesady — ogromne. Dotyczyły one życia społecznego i gospodarczego. To wszystko wiemy. Jest również faktem, że wprowadzenie dwóch zasadniczych przemian: uspołecznienia przemysłu i reformy rolnej odbyło się „od góry”. Decydującą w tym rolę odegrała władza polityczna. Robotnicy proponowane zmiany przyjęli, chłopci wzięli ziemie. Zaakceptowali w ten sposób nową strukturę społeczną. Ale ani jeden, ani drugi nie dokonali tego sami. W związku z tym władza poczuła się jedynym źródłem tych przemian i — co gorsze — jedynym ich gwarantem. Im dalej szliśmy w historię najnowsza, tym bardziej anachroniczne stawało się to urojenie władzy. W końcu doprowadziło ono do alienacji władzy i jej demoralizacji. Demoralizowało się również społeczeństwo. Czulo się bowiem zwolnione od odpowiedzialności za to, co się działo w kraju. I rok 1980 stał się tu przełomem. Zwiększył się

Protokół wiejskiego zebrania

Tadeusz Jasiński

GMINNY Zjazd jeszcze się nie rozpoczął, gdy znajomi rolnicy powiedzieli mi z rezygnacją: „Panie redaktorze, nie ma potrzeby obradować, kilka dni wcześniej oni już wszystko postanowili, wybrali przewodniczącego obrad — Sierpiński będzie — wytypowali swój skład prezydium naszej Rady Związku Kółek Rolniczych”. Przemysłiwali, żeby w ogóle nie dopuścić do utworzenia w Łęcznej takiego Związku.

Sprawiło się wszystko! Po obu stronach długiego stołu zasiadło 50 delegatów z 17 kółek łączyńskiej gminy, w tylnej jego części — znacznie więcej niż z przodu, więc układ ten przypominał kształtem mandolinę. I właśnie w tamtym zatoczonym fragmencie panowało widoczne podniecenie. Przewodził tej grupie trzech, może pięciu mężczyzn, ale uzyskiwali wpływ na przebieg obrad wyraźnie. Ledwie wybrał swego przewodniczącego, ten już z gotową grubą teczką akt objął rządy w prezydium. Zaraz potem poddał pod głosowanie wniosek, że sali tej nie opuszczają dopóty, dopóki nie zostanie odczytany i zatwierdzony protokół odzwierciedlający przebieg zebrania. Przewodniczący Sierpiński od razu zapowiedział:

— Będę pytał tylko: kto za, kto przeciw? Wstrzymywania się nie chcę widzieć, nie będę pytał o to. W odnowie potrzebna jest cywilna odwaga. O, już widać na tej sali — popatrzył w miejsce, które przed chwilą opuścił — nowe myśli, nowe uczucia!

W tym momencie z miejsca, gdzie nowe uczucia tak licznie się zagnieździły, odezwał się jeden z młodszych rolników. Zaproponował, aby w gminnym zjeździe uczestniczył przedstawiciel „Solidarności” górniczej, Janusz Andrzejkiewicz, który czekał już w sąsiedniej izbie. Wniosek przyjęto.

Przewodniczący zalecił przeczytanie wzorcowego projektu statutu Gminnego Związku i Organizacji Rolniczych, opracowanego przez Radę Główną Związku tychże Kółek. Kilkakrotnie próbował — kwestionować poszczególne punkty, stwierdził, co będzie, a czego nie będzie w łączyńskim dokumencie: „Całą sprawę socjalną odrzucamy! Tak wczoraj postanowiliśmy na zebraniu tych delegatów, którzy chcą należeć do „Solidarności” wiejskiej! Szum u podstawy ludzkiej mandoliny dość hulaśliwie potwierdził jego słowa. Kłós jednak z tej części, gdzie delegaci siedzieli w pojedynczych rzędach po obu stronach długiego stołu, zawołał: „Dajcie nam, rolnikom, mówić na temat naszego statutu! Czemu tak wszystko z góry, nie na tym zebraniu postanowione?” Riposta przewodniczącego była natychmiastowa: „Ten statut odrzucam. Wczoraj myślny opracowali i zatwierdzili nasz własny i on będzie nas obowiązywał. Przeczytam go zaraz, żeby nikt nie mówił, że nie zna, że nie wie, za jakim ma głosować!”

Słucham i porównuję ten statut z wzorcowym przedstawionym wcześniej. Szkielet jest identyczny, zmiany polegają na skreśleniach. Wypadły zdania o podległości radom Wojewódzkiego i Centralnego Związku Kółek Rolniczych, a zamiast stwierdzenia, że kółka są organizacją społeczno-zawodową, wpisano: społeczno-gospodarczą. Wygląda na to, że autorzy opracowania oraz ich doradcy pragną sami stanowić dla siebie coś w rodzaju zarządu głównego.

Te intencje budzą delikatny sprzeciw, wiceprezesa lubelskiego WZKR, Ryszarda Plechana, który wskazuje na elastyczność i potrzebę pionowych powiązań, jeżeli reprezentacja rolników ma spełniać istotniejszą rolę w gospodarce rolnej województwa i kraju. W odpowiedzi słyszy: „WZKR i CZKR zniszczyły nas, stłamsiły samorząd chłopów, jak możemy im zaufać? A ile pan przewiduje zwolnić pra-

cowników? Prezesi i zarządy tych instytucji powinny pracować społecznie”. Nie wszyscy jednak chcą zniszczyć dotychczasową strukturę kółek. Młoda kobieta przychodzi w sukurs działaczowi z Lublina, wraca do pozytywów statutu wzorcowego: „Zbyt wiele tu się chce wyrzucić. Jakże my prawa będziemy mieli przy takim okrojonym statucie? Kto nam, kobietom, da kurczęta, kto sfinansuje kursy kół gospodyń wiejskich, do kogo z tym pojedziemy, jeżeli nikogo nad nami nie uznajemy?” Wapiera ją inna, nieco starsza koleżanka: „My, rolnicy, nie wszystko sami zrobimy, bo jak to będzie, jeżeli gospodarz sam będzie ślać i sam biurować? Jeden z rolników, Ryszard Plekarczyk, który społecznie jest sekretarzem Komitetu Miejsko-Gminnego PZPR, a zarazem wchodzi do grupy deklarującej założenie w Łęcznej „Solidarności”, żąda, aby struktura WZKR i CZKR się zmieniła, prezesi działali społecznie, stare nawyki zostały zarzucone. Respektowanie i realizowanie oddolnej woli chłopskiej uważa za konieczne, jednak — jego zdaniem — podległość pionowa jest korzystna dla członków kółek, oczywiście, przy rzeczywistym utrzymaniu niezależności i samorządności na wsi i w gminie. Członkowie jedenastu kółek wypowiedzieli się za statutem wzorcowym, gdy wybierali obecnych tu delegatów. Takie są ich pełnomocnictwa. Nie mogą więc głosować razem z tymi z pozostałych sześciu kółek, gdzie uznano, że lepszy będzie dokument okrojony w ten sposób, jak zostało tu przedstawione. Kółka powinny być organizacją społeczno-zawodową, są bowiem władne i dość silne, aby zadbać o poprawę warunków socjalnych na wsi.

Wstaje gospodarz z tyłu i woła: „My jesteśmy producenci. Nie różnimy się od omnibusów. Nie różnimy w kółkach z siebie takich od wszystkiego, wiele spraw załatwi „Solidarność” wiejska, jeśli zostanie zatwierdzona”. Popiera go miejscowy działacz społeczny, rolnik Henryk Kowalski. Sięga z miejsca po broń klasyczną, którą zresztą na tej sali użyje potem również przedstawiciel górników. Cytuje urywki z myśli Lenina na temat demokracji. Jest za odnową w jednym wyrazie, ostrzega przed popełnianiem tych samych błędów od nowa. „Przeistniejmy waleczyć, weźmy się do roboty! Powinno być związanie „Solidarności” wiejskiej. My odtworzymy tradycje kółek rolniczych, które muszą być społeczno-gospodarcze i nie mogą pełnić roli naszego związku zawodowego. Chłop jest zadziorny, chłop jest stanowczy! Tu, od dołu będziemy sobie robić demokrację! Po co jest nam potrzebna hierarchia, starajcie się mnie przekonać! A te zadania z wzorcowego statutu. Czy nie powiedzą nam: wszystko sami załatwiamy, i kulturę, i zdrowie, załatwiamy sami, podjęliście się o to troszczyć! Za dużo zadań, czy rolnicy będą mieli na to czas?”

Marian Gliniewicz z Karolina woła: „Nas jest większość. Uznajemy za siłę zwierzchnią „Solidarność” wiejską. Jesteśmy wszyscy za tym, głosujemy!”. Ale młoda kobieta, która troszczy się o prawidłowe działanie kół gospodyń, nie ustępuje: „Przy tak okrojonym statucie, każdy może mi odmówić pomocy”. Przewodniczący zjazdu odczytuje uchwaloną w przeddzień deklarację łączyńskiej „Solidarności” wiejskiej, w której wiele spraw społeczno-zawodowych zostało arbitralnie rozstrzygniętych, przedstawia ten rękopis jako coś, co wszystkich obowiązuje i jest już poświęconym prawem. Wniosek Gliniewicza zostaje jednak w końcu przyjęty, jako wezwanie do głosowania za statutem znówelizowanym. Niektórzy proponują, aby zadecydować tajnie, na piśmie. Przewodniczący jest za jawnością, niech każdy powie głośno: jestem za, albo przeciw! Ostatecznie większość zebranych akceptuje dokument okrojony. (W województwie

lubelskim w ten sposób postąpiła jeszcze jedynie Konopnica, która także gościła u siebie różnych emisariuszy i doradców).

Przychodzi czas wyboru prezesa i Rady Gminnego Związku Kółek i Organizacji Rolniczych. Przewodniczący notuje kandydatury. W tym momencie podlega jednak dziwnej słabości: bardzo dobrze słyszy nazwiska padające od strony obłej części „mandoliny” ludzkiej, natomiast na siłę trzeba mu wtlaczać w uszy i pod długopis kandydatury z jej „szyi”, a więc padające całkiem z bliska. Sam znajduje się również wśród proponowanych. Przez cały czas daje pokaz szczególnie rozumianej demokracji i odnowy. Słowa są tu nowe, metody stare, bardzo stare. Znowu jawność życia, więc i jawność głosowania. „Kto tu może się czuć sterroryzowany, po co na kartkach, ile to roboty, wiecie kochani, my przecież w biurokracji słabi. Mamy ręce, głosujemy po naszymu, po chłopsku. Będziemy liczyć, dobrze będziemy liczyć; kto za, kto przeciw?”

Wybrano w końcu ludzi do samorządu, którzy później, w kuluarach, prezesurę powierzyli Zygmuntovi Pawłowskiemu, dobremu rolnikowi, szanowanemu w Łęcznej i okolicy. W ogóle rada i jej prezydium chyba się udały; w kółkach złych gospodarzy nie wybierano się na delegatów. Sierpiński został sekretarzem. Może uprzykrzył się trochę sposobem prowadzenia zjazdu, może ludzie przypomnieli sobie, że takim zupełnym chłopem, za jakiego wciąż chciał uchodzić wobec gości z województwa, to on znowu nie jest. To inżynier przecież, który z niejednego pleca biurokracji chleb już jadł.

Należało teraz wybrać delegata na Wojewódzki Zjazd Kółek i Organizacji Rolniczych w Lublinie. Większość zebranych ostentacyjnie odwróciła się od prawda plecami do góry, ale teraz doszli do wniosku, że obecność ich przedstawiciela, choćby w roli obserwatora, byłaby pożyteczna. Kiedy w minionym roku dominowała Spółdzielnia Kółek Rolniczych w Łęcznej, na walnym zebraniu wybrano już dwoje delegatów: Eugenię Wierchoń i Alfreda Walkiewicza, wobec czego pozostał jeszcze jeden wolny mandat. „My chcemy wybierać trzech delegatów od nowa!” — zaproponował jednak ktoś z tyłu, kogo natychmiast usłyszał przewodniczący Sierpiński i rozstrzygnął sprawę krótko: „Podejmuję decyzję w tej sprawie. Tamte wybory nieważne, wybieramy od nowa!” Na to wstał inny rolnik, stwierdzając spokojnie, stanowczo: „Nie można tych ludzi, którzy nigdy dobrze pracowali, podeptać. My się na to nie zgadzamy!”. W tyle wołają, że Walkiewicz może być delegatem. „Podejmuję decyzję. Reprezentować nas będzie on jeden, a dwóch nowych zaraz wybieramy” — wrócił Sierpiński. „Co macie przeciw pani Wierchońowej?” — zapytała przewodnicząca Miejsko-Gminnej Rady Kobiety. — Co przeciw niej macie, harowała kobieta, została wybrana, co przeciw niej macie? Czy to są wybory w „Solidarności”, czy w kółkach rolniczych? Chciałabym to wiedzieć!”

Sypią się uwagi, że do miejscowego SKR-u nikt na zjeździe nie miał, że cztery lata już przynosi duże zyski, a Wierchońowa wybrana została delegatką przez większość, częściowo przez tych samych ludzi, co są dziś w sali. Więc wybierają jednego delegata spośród trzech kandydatów: Kowalski wygrywa jednym głosem przed Plekarczykiem, a Sierpiński otrzymuje tylko dziesięć rak. Coś się zmienia na sali! A gdyby głosowanie było tajne, gdyby ostrym wzrokiem nie wywołano w górę dłoni, lub nie przykazywano trzymać ich przy sobie? Kłós uważa, że okrojenie statutu było zbyt drastyczne, ogoliło go z sensu, obeszłałnito. Gminny Związek nie tylko wobec góry, ale i tu, na miejscu. Co on będzie znaczył, skoro wykreślono nawet punkt o

możliwości przyjmowania kół producentów i innych osób prawnych, nie można włączyć nawet Spółdzielni Kółek Rolniczych? „Jak to? — dziwi się główny sprawca okrojonej. — Statut jest przegłosowany i nie będziemy do tego wracać! Tam wszystko jest w porządku”. Ale Sierpiński już nie znajduje posłuchu. Wstaje kobieta i wzburzona krzyczy:

— Wiecie wszyscy, ja jestem wdową, kto mi przyjdzie zaorać pole, jeżeli tak od wszystkiego się odcinamy?! Nie mogę, nie mogę wytrzymać, bo ja tego warcholeńca to mam dosyć! Będziemy się w kraju i tu w Łęcznej warcholeńcy i warcholeńcy! Do czego to zmierzacie? — wyciąga ręce w stronę prezydium obrad i najaktywniejszej grupy mężczyzn.

— Dobrze, kupuję ten wniosek — uciesza ją nagle przewodniczący, nieco przygasły na widok zmieniającej się sytuacji — kupuję. Przerwywam polemikę! Głosujemy.

— Nie można przerwywać polemiki! — pada z sali. — Chcecie robić dyktat! To jest ta wasza demokracja? Już dość tych słów!

Kilka godzin wcześniej ktoś napomknął o strajku chłopskim, że może okazać się dobrą bronią. Teraz jeden z delegatów, który także zapisał się na listę kandydatów do związku zawodowego rolników, przypomina, że Izbią już w 1922 roku była ośrodkiem chłopskiego oporu i że w nowym związku będzie można do tych tradycji nawiązać. W tym momencie młoda kobieta ponawia swoje pytanie sprzed kilkudziesięciu minut:

— I nie otrzymałam odpowiedzi: czy my dziś jesteśmy na zebraniu „Solidarności”, czy kółek rolniczych? Chciałabym to w końcu wiedzieć!

— Jedno stanowi o wszystkim! — wyjaśnia dyplomatycznie pan Sierpiński. — Nowe się tworzy po nowemu. Nie trzeba kłaść kłód pod nogi.

Wstaje gospodarz z gromady, spośród której najwięcej padało kandydatur do rady i komisji rewizyjnej. Nawiązuje do ledwo przygasłej kwestii:

— Nie namawiajcie nas, chłopów, do strajków! Do rewolucji nas nie namawiajcie! Nad każdą szczygółką trzeba się zastanowić. Podział nas do niczego nie doprowadzi. Musimy się wziąć mocno do roboty. Nasz święty obowiązek, żeby ziemia dobrze rodziła. Ja nie zaprzeczam robotnikom, ale my nie pieć, ale siedem dni musimy pracować. Ja krowie ani świnie nie powiem, że mam teraz dwa dni wolne, bo by zdechła z takiego czekania nammi!

Oklaski otrzymał od wszystkich. Znowu wróciły zwykłe, gospodarskie troski. Mówili o zagwarantowaniu własności gospodarstwa rodzinnego, wolnego obrotu ziemią, o stratach byłej SKR w Ludwinie, o emeryturze rolniczej, której suma dzielona jest na dwoje małżonków i mało znaczy w ich budżecie, braku maszyn, traktorów, towarów w sklepach, o zlej polityce cen na rolne produkty i żywność, o potrzebie zmniejszenia podatku gruntowego rodzinom, w których kobieta jest ciężarna i wychowuje małe dzieci, o sanatoriach dla rolników itp.

Po prawie dziewięciu godzinach nerwowej atmosfery wieczór ten zdawał się w końcu przynosić zebranym spokój, pojednanie, skupienie wokół celów rolnikom gromady najbliższych. O konieczności zatwierdzenia protokołu zapomniano. Z zainteresowaniem wysłuchali wyważonych głosów zarówno Janusza Andrzejkiewicza jak i sekretarza Komitetu Miejsko-Gminnego w Łęcznej Tadeusza Grzesiuka. Nie można mieć jednak złudzeń, to tylko okresowe zawieszenie broni. Część chłopów odezwała się, gdy chodzi o dotychczasową politykę rolną, nieufność do samorządności kółek. Są wśród nich: bojownicy, nieustępliwi, podlegli podszeptawcom spora rolnictwa i własnemu sceptycyzmowi. Zebranie odbyło się 7 lutego br.

OKOLICE SZTUKI

RADOMSKIE SALONY

Mieliśmy kiedyś w kraju sporo przyzwoitych salonów, z których do naszych czasów ostał się tylko jeden: plastyczny Salon Zimowy w Radomiu. Już sama nazwa tej ogólnopolskiej wystawy malarstwa, grafiki i rzeźby budzi ciepłe uczucia, obiecuje kameralne nastroje, dobre maniery i szacunek dla tradycji, czego nie można powiedzieć o imprezach, które odbywały się w Polsce pod twardeymi hasłami konfrontacji, prezentacji, sympozjów czy sympozjonów. Terminy te wprowadzono w obszar sztuki ze słowników policji, wojska i nauki, bezwiednie wskazując, na czym to świat współczesny stoi. Któż jednak może powiedzieć, że prawda rodzi mi-

łość, choć są ludzie, którzy prawdę kochają.

Impreza radomska to w ogóle zjawisko fenomenalne w krajowym życiu artystycznym ze względu na swoją ciągłość. Pierwszy Salon otwarto w grudniu 1945 roku, stosownie do porę roku nagradzając „Pejzaz zimowy” Hanny Rudzkiej-Cybulowej; ostatni, 35 z kolei, pięć tygodni temu. A działo to się w mieście skromnym, robotniczym, znacznie mniejszym od takiego, na przykład, Lublina, nie posiadającym po prawdzie tradycji artystycznej, którą musiałoby zastąpić wspomnienie o Jacku Malczewskim i Józefie Brandzie. Pierwszy urodził się w Radomiu, drugi pomieszkiwał w niedalekim Orosku, w pałacyku, który teraz niecierpliwie czeka na powrót naszych świętych konserwatorów z krajów Trzeciego Świata i RFN, gdzie za ratowanie zabytków otrzymują ryż, granaty (takie owoce) oraz dewizy.

W powojennym Radomiu spotkali się jednak ludzie przedwojenni, którzy doszli do wniosku, że codzienne spacerki po jedynej przyzwoitej ulicy miasta, noszącej imię autora „Popiołów”, nie zaprowadzą ich zbyt daleko. A ponieważ wielu z nich malowało lub ceniło takie wartości, powołali Towar-

zystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych — już w czerwcu 1945 roku, zaledwie sześć miesięcy po wyzwoleniu miasta. Zaraz potem postanowili, że zorganizują dorożny Salon Zimowy plastyki. Kto z nich mógł przypuszczać, że inicjatywa ta okaże się jedną z niechczonej, jknie przetrzymują wszystkie wstrząsy w naszej polityce kulturalnej 36 minionych lat? Owszem, przechodziła ona różne koleje losu, okresowo cieszyła się znacznym szacunkiem krajowych środowisk plastycznych, właśnie w Radomiu młody Tadeusz Kantor otrzymał „zaszczytne wyróżnienie i nagrodę pieniężną” w 1946 roku, ale też faktem jest, że przy końcu lat sześćdziesiątych ten piękny Salon zamienił się w lombard prowincjonalnych aspiracji pozaartystycznych. Od pewnego czasu znów przecież dobrze mówi się o radomskiej wystawie TPSP, urządzonej w kameralnych salach Muzeum Okręgowego, któremu zresztą od dawna należy się jakiś dodatkowy i obszerny obiekt ze względu na ilość i jakość dzieł sztuki posiadanych przez tę wyjątkowo dobrze działającą placówkę.

Najbardziej salonowy charakter miała chyba wystawa ostatnia, otwarta 25 stycznia. Zawdzięczać to należy Ge-

ne Maikowskiemu, który do Radomia przeniósł swoje wcześniejsze pomysły ekspozycyjne, lokując na muzealnych ścianach obrazy i rysunki od podłogi niemal po sufit, czyli tak, jak umieszczano niegdyś malarstwo w rezydencjach magnackich, w salonych bogatego miłośnictwa i lepiej uposażonej inteligencji. Takie rozwiązanie przetrzonne, nie pozbawione uroku, znajdowało przecież uzasadnienie daleko przekraczające indywidualne upodobania autora ekspozycji, można powiedzieć, że Maikowski sensownie spozyt-kował swoją inwencję dla podkreślenia zasadniczej idei wystawy, jaką była konfrontacja sztuki współczesnej z dawną, powstającą w XIX i na początku XX wieku. Oto bowiem obok obrazów Krzysztofa Wachowiaka (Nagroda Główna im. Jacka Malczewskiego), Jana Popka (I nagroda w dziale malarstwa), Andrzeja Gieragi, obok rysunków Jana Ryłke czy Krystyny Piotrowskiej zawieszono dzieła Malczewskiego, Chetmońskiego, Brandta, co dało okazję do ciekawych porównań i zdumiewających wniosków. Jakich? Proszę pojechać do Radomia i osobiście zbadać sprawę. Warto.

I.J.K.

PRASOWANIE NA ZIMNO

MŁOTEK I PIORO

PRZYJEMNE to uczucie pisać, co się myśli, i mówić, co się widzi. Wiem to sam po sobie, choć wiem również, że jeszcze dla wielu osób to uczucie jest czymś zupełnie nieznanym, dalekim, odległym, bardziej nieosiągalnym, niż własna dłoń czy samochód.

Ale mam nadzieję, że z biegiem czasu kraj osób, które będą miały okazję je przeżywać, trochę się poszerzy. Nie jestem maksymalistą, nie ludzę się, że na ten luksus będą mogli sobie pozwolić wszyscy, wstarczy, że będzie ono na początek udziałem ludzi pióra i kamery. Niestety, wszyscy nie mogą przeżyć wszystkiego. Zresztą, gdy dwoje widzi to samo, to nie zawsze zaraz mówi to samo i to samo przelutuje. Pisze dwoje, lecz ma odczuwać na myśli liczbę mnogą. Oj, mnoga!

Mój były szef, jak już pisałem kiedyś, zwykł mówić do mnie: „Badziak, jeśli wy już konkretnie musicie myśleć, to chociaż nie ale mówcie, a jak już musicie mówić, to chociaż tego nie piszcie, a jak coś na-

piszecie, to przynajmniej się pod tym nie podpisujcie”.

Coż, był to człowiek z tamtej epoki, kiedy zamiast nazwisk używano się pseudonimów, synonimów, anonimów, grypsów, pisało aluzyjnie, czytało między wierszami. O wydarzeniach w Ameryce Południowej wleźliem wszystko, o wydarzeniach w Lubelskiem nie. Spadek kursu dolara odnotowywany był codziennie na pierwszych stronach organów, a o kursie złota nie pisały nawet magazyny ilustrowane. Propaganda sukcesu była głośna, a dowcipy polityczne opowiadało się po cichu. Fabryk Tomów przybywało, a mieszkań ubywało. Jako jedyni i chyba ostatni kraj na świecie wybudowaliśmy sobie Zamek Królewski, co do tej pory zdumiewa wszystkich cudzoziemców. W dodatku posiadając najlepszych architektów, mamy najkoszowniejszą architekturę w Europie. Eksportujemy słarkę i fabryki kwasu siarkowego, a sam kwas siarkowy importujemy. Zlikwidowaliśmy własne węgliny, mając młotek u sąsiadów. Mleko u nas najbardziej szkodliwym artykułem spożywczym, a po wybudowaniu huty Katowice młotki sprzedajemy z ChN. Autentycznie. Sam taki młotek kupilem i od czasu do czasu coś sobie tam wbijam. Ostatnio jest on nawet barbita przydatny niż pióro, które wypadło mi z ręki na ulok tego, co się dzieje, tego, co widzę, co słucham, co czytam i co czuję.

Od momentu, jak Czesław Miłosz dostał Nobla, realizując hasło „Ludzie, pióra do młotek... przepraszam — ludzie młotkiem do pióra”, zacząłem wlewać piasek. Oto próbka pierwszej strony i ostatniej:

Zacień wlewać zdobyć, niż ją sprawować, Lacień jarzmo rzucić, niż orzbić — wyprostować.

Karol Badziak

PRASA LUBELSKA PISAŁA

PRZED 50 LATY

Na terenie Lublina pojawiła się od pewnego czasu spora ilość fałszywych monet 1-zł i 50-groszowych. Onegdaj fabryka tych fałszywych monet została „nakryta”, a wykrycie całej tej afery fałszerskiej miało następujący przebieg. Do sklepu spożywczego pani Szymańskiej przybyła pewna kobieta, która pozcynia szereg zakupów i zapłaciła monetami 50-groszowymi. Były to monety fałszywe. Szymańska wezwała policjanta, który zatrzymał ową kobietę, okazała się nią Zofia Mikołajczyk, którą odprawiono do komisariatu, gdzie podczas rewizji osobistej znaleziono jeszcze 10 monet 50-groszowych fałszywych. Było to dowodem, że Mikołajczykowa puszcza w obieg fałszywy bilon. Przeprowadzono rewizję w jej domu. Rewizja dała

sensacyjny wprost rezultat. Znaleziono większą ilość fałszywych monet — monetalew metalowych i cały szereg narzędzi do obrabiania i czyszczenia odlewanych już monet. W mieszkaniu znaleziono również pistolet automatyczny. Przesłuchany Edward Mikołajczyk z zawodu szofer-mechanik, obecnie bez pracy. Przyznał się do fabrykowania fałszywych pieniędzy, które potem żona puszczała w obieg.

Pisałmy swego czasu dość obszernie o wrankach przeprowadzonej niedawno transakcji zapalczałej między rządem polskim a Krógiem. Rezultatem tej transakcji pożyczkowej jest to, że zapłacił podrożaty o 1 grosze na pudełku a zapalniczki zniki ze sklepu. W żadnym sklepie w Lublinie nie dostanie się dziś zapalniczki. Gdzie się one podziały? Wszystkie odesłane zostały do Urzędu Akcyzy Monopolowej. W myśl pożyczkowej umowy zapalczałej cena na każdej zapalniczce podwyższona o 10 złotych, na srebrnej o 20 złotych. Dotyczyło to również zapalniczek, które od lat nierzadko leżały w sklepach. Był to, oczywiście cios we właścicieli sklepów. Wszyscy właściciele sklepów, gdzie sprzedawano zapalniczki, nie chcą ponosić uchylających i niesłusznym kosztów, zapalniczki odesłali do Urzędu Akcyzy Monopolowej. Dziś żaden sklep w Lublinie zapalniczek nie ma. Podobnie uczynili, jak się dowiadujemy, kupcy innych miast Polski. Wobec takiej sytuacji może w Polsce dojść do tego, że zapalniczki skończą u nas swój żywot i wyjdą zupełnie z użycia. Bo kto dziś pozwolił sobie na marną zapalniczkę za 13 czy 15 złotych?

„Głos Lubelski”
Wybrała A. Orzechowska

Uniwersalny kod przemówień

W ramach odnowy wraca walka z frezosem, pustosłowiem ze słowami bez treści. Owe zbitki słowne, zaczerpnięte z zebraniowego żargonu, z artykułów prasowych, od dawna krążyły wśród ludzi jako „humor i satyra”. Oto „Uniwersalny kod przemówień” na każdą okoliczność. Początek zdania z I rubryki koresponduje z każdym jego dopełnieniem z II rubryki, następnie z III i IV. Przyjemnej Zabawy!

I	II	III	IV
Koleżanki i koledzy	realizacja naturalnych zadań programowych	zmuszają do przeanalizowania	istniejących warunków administracyjno-finansowych
Z drugiej strony	zakres i miejsce szkolenia kadr	spełniają istotną rolę w kształtowaniu	dalszych kierunków rozwoju
Podobnie	stały wzrost ilości i zakresu naszej aktywności	wymagają określenia i sprecyzowania	systemu powszechnego uczestnictwa
Nie zapominajmy jednak, że	aktualny system organizacji	pomagają w przygotowaniu i realizacji	postaw uczestników wobec zadań stawianych przez organizację
W ten sposób	nowy model działalności organizacyjnej	zabezpieczają udział szerokiej grupie w kształtowaniu	proponuje programowych
Praktyka dnia codziennego dowodzi jednak, że...	dalszy rozwój różnych form działalności	spełniają różne zadania w wypracowaniu	programu postępowego wychowania
Wagi i znaczenia tych problemów nie trzeba szerzej uzasadnić	stałe zabezpieczenie informacyjno-programowe naszej działalności	umożliwiają w większym stopniu tworzenie	systemu szkolenia kadry odpowiadającej potrzebom
Różnorodne a bogate doświadczenia	wzmocnienie i rozwijanie struktur	powodują niedocenianie wagi	odpowiednich warunków aktywizacji
Troska organizacji, a szczególnie	konsultacje z szerokim aktywnym	przedstawiają interesującą próbę sprawdzenia	modelu rozwoju
Wyższe założenia programowe, a także	rozpoczęcie powszechnej akcji kształtowania postaw	połączają za sobą proces wdrażania i unowocześniania	form oddziaływania

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich. Założyciele Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Maria Bęczczyńska-Rudnicka, Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Anna Boclan, Mirosław Derwicki, Tadeusz Janowski, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego), Bronisław Kowalski, Henryk Pajak (kierownik działu literackiego), Waldemar Stebleń (fotoreporter), Redaktor techniczny — Ewa Dybek, korektor — Marianna Obłosa

Informacji o warunkach prenumeraty udziela Oddział RSW „Prasa — Książka — Ruch” i utrzuje bezpłatnie. Cena prenumeraty rocznej — 78 zł. Prenumerata za dziecieniem wysyła za granicę przyjmując RSW „Prasa — Książka — Ruch” Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictwa ul. Towarowa 38, 00-938 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-20143-139-11; prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla dziesiętnodawców indywidualnych i o 100 proc. dla decydujących instytucji i zakładów pracy

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. W sprawach literackich przyjmuje interesantów kierownik działu w poniedziałki w godz. 10-12 i ofiaki w godz. 14-15

Wydawca Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa — Książka — Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie ul. Jasna 6 (tel. 231-34)

Druk Lubelskie Zakłady Graficzne im. PiCN w Lublinie ul. Unicka 4, PL ISSN 0137-1168 Nr indeksu 36751 Adres redakcji: 20-028 Lublin, ul. Skłodowskiej 1/3

Telefony: sekretariat, redaktor naczelny 231-83, sekretarz redakcji 218-93, dział publicystyki i literacki 375-35

Korespondencje zwykłe prosimy kłówać pod adresem: 20-006 Lublin 1, skrytka pocztowa 231; polecona i ekspresowe — o 50 adresem redakcji.

N-1.